№ 44. Warszawa, dnia 29 (17) Października 1881 r. Rok I

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres Redakcyi i Administracyi**
**Włodzimierska Nr. 2.**

Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.



**Abonentów PRAWDY a zarazem i HISTORYI FILOZOFII Langego, którzy przesłali pieniądze na to dzieło za naszem pośrednictwem, uwiadamiamy, że po ostatniem skontrolowaniu ksiąg naszych z książkami wydawcy B. Lesmana wszelkie pomyłki w rozsyłce owej książki zostały sprostowane.**

## NOWY OBRACHUNEK.

W „Kronice rosyjskiej" poprzedniego n-ru *Prawdy* zaznaczono ponowne ukazazanie się starego widma, znanego pod nazwą *Primirenie russkich s polakami.* Widmo to przywołał p. F. A. Wesołowski, polak. Wyznajemy otwarcie, że daleko chętniej patrzymy na występujących w tej roli rosyan, niż polaków. O ile bowiem pierwsi mają możność i obowiązek rozbierania i rozstrzygania owej sprawy, o tyle drugim sama natura stosunku dwu społeczeństw głos w niej odbiera. Skoro jednakże ukazała się broszura, polskiem piórem po rosyjsku skreślona, musimy na nią zwrócić uwagę czytelników.

Sam autor cel swej pracy widzi „w rozjaśnieniu wielu, bardzo mało znanych publiczności faktów historycznych oraz w wyborze stanowiska dla należytej ich oceny."

Jakież to są fakty i jakie stanowisko?

Szeregiem dowodów, poczerpniętych z opracowań XVIII w. w Polsce, p. W. dowodzi, że 1) pomysł i przeprowadzenie rozbioru Polski należy się Prusom; 2) Rosya nie przyjęła dobrowolnego w nim udziału (*bezuczastie*) i popełniła jedynie błąd uległości dla polityki germańskiej; 3) Francya, uważana za „jedyną przyjaciółkę Polski" — zwiodła ją haniebnie; 4) przyczyny upadku Polski spoczywały również w jej chorym, rozstrojonym organizmie; 5) skutkiem tych względów zgodnemu, braterskiemu pożyciu rosyan i polaków nie powinno nic stać na przeszkodzie.

W twierdzeniach tych dużo jest prawdy, troszkę nieznajomości rzeczy i złudzeń, oraz nieco naciągania faktów do zamierzonego celu praktycznego.

Pierwszeństwa w myśli podziału Polski nikt Frydrykowi II nie zaprzeczy; podwójna gra Francyi jest również znaną, ale co się tyczy *bezuczastia* Rosyi, to pierwsi jej historycy zdejmą bielmo z oczu naszego autora. Są oni szczersi i sprawiedliwsi. Według znajomego panu W. Sołowiewa, podział Polski był dla Rosyi historyczną koniecznością, następstwem jej umacniania się a nadto rozstrzygnięciem wiekowego sporu między dwoma sąsiednimi narodami. Rosya bez rozbioru Polski — jak sądzi ten historyk — nie pozyskałaby należnego jej w Europie znaczenia, nie przyswoiłaby sobie cywilizacyi europejskiej, Polska leżała bowiem na jej drodze do Zachodu. Ten pogląd Sołowiewa gardzi etyką międzynarodową, jest surowy, okrutny, ale daleko prawdziwszy, niż polityczna sofistyka p. Wesołowskiego, który często mniema, że przemilczenie pewnych faktów usuwa ich byt w historyi.

Sprawdzając rachunki historyczne, autor dostrzega jeden tylko błąd w postępowaniu Rosyi, mianowicie, że nie zabrala całej Polski, lecz jej część a inne pozostawiła na pastwę niemcom.

Jakkolwiek przytoczone dowody dwulicowości Francyi nie są w nauce nowe, wskrzeszenie ich jednak dostarcza p. W. istotnie skutecznego środka przeciw zadawnionej sympatyi naszej dla obłudnej przyjaciółki. Poniekąd też słusznie woła on: „Niech każdy zdrowo myślący polak odczuje głęboko wpływ Francyi na losy Polski, niech oceni krytycznie przywiedzione przez nas fakty historyczne, a niezawodnie przekona się, że Francya należała zawsze do najniebezpieczniejszych wrogów: schlebiała polakom a jednocześnie kuszeniem spychała ich w przepaść." Rzeczywiście, ile razy z pod obłudnej maski wyszła prawda, mówiła słowami ks. de Broglie: „Jakikolwiek los oczekuje Polskę, nie będzie on miał ani związku, ani wspólnych interesów z Francyą lub innemi państwami. Wobec Francyi i Europy Polska stała się członkiem, wyłączonym ze społeczeństwa, umarłym cywilnie, pozbawionym własności i praw osobistych." Gdyby innych świadectw brakło, to jedno dla udowodnienia przyjaźni francuskiej chyba wystarczy.

Ponieważ autor wprzęga fakty do swojej tezy, nic dziwnego, że one ją pociągają w rozmaite strony. Na jednej stronicy (13) przyczyną upadku Polski jest przeciwległa sprzeczność zasady jej bytu z ustrojem Rosyi; na drugiej (42) — indyferentyzm XVIII w. oraz polityka nieszanująca cudzych praw i poczucia sprawiedliwości, na innej (50) — ucisk ludu przez szlachtę i usunięcie go od życia obywatelskiego i politycznego, na innej (53) wreszcie — *Drang nach Osten.*

Wogólności rzec można, że historyczna podstawa wywodów autora jest najsłabszą podwaliną jego broszury a rachunki z przeszłością tak dalece nieścisłe, że nie znajdujemy w nich wcale tego, co historya zapisała po dacie ostatniego rozbioru. Przeskok ten był nieunikniony dla dojścia do założonego celu. Nasuwa się tylko pytanie, czy owa droga, mianowicie historyczna jest bezpieczną i niezbędną? Czy nie udaremnia swych usiłowań każdy apostoł „primirenia," który chce je osiągnąć za pomocą pokwitowania obu stron z pretensyi prze-

szłych? Według nas jest to zwykły i naturalny rezultat podobnego przedsięwzięcia. Kto chce z nadzieją powodzenia zbudować most zgody dwu narodów, musi go oprzeć na obustronnych potrzebach i korzyściach obecnych, nie zaś na sztucznem i wątłem podmurowaniu dziejowem. Pojmujemy pisarzów, którzy powiadają: zamknijmy przeszłość na klucz przebaczenia i zbudujmy z wzajemnych ustępstw oraz usług nowe życie; ale nie pojmujemy tych, którzy chcąc pobratać dwu przeciwników, zaklejają jednemu z nich rany bibułką i wmawiają w obu, że nigdy z sobą nie walczyli. Dowodów historyi podrobić niemożna, zawsze ona zaprotestuje przeciw sfałszowaniu jej podpisu. Z tego też względu, p. W. osłabił sprawiedliwość swego sądu w procesie rosyjsko-polskim, wydawszy swój wyrok na podstawie „dokumentów XVIII w.“

Daleko lepiej byłby zrobił, gdyby w rozstrzyganiu tej sprawy poprzestał na przesłuchaniu obu stron w pokoleniach żyjących, czem właśnie zajmuje się druga część jego książki. I tu wszakże żałować musimy, że autor podnosząc naszą racyę życia, zbyt słabo uwydatnił jego szczegółowe tytuły. Popisanie się szeregiem znakomitych aktorów i aktorek polskich śród ogólników, wysławiających inne nasze zdobycze cywilizacyjne, słabym ciężarem pada na szale wątpień o żywotności i sile duchowej narodu. Można i trzeba było złożyć na nie więcej i bardziej przekonywających dowodów.

Gdyby nie te stronice książki, w których p. W. wzywa naród rosyjski do sprawiedliwości i przyjaźni, do położenia tamy zalewowi germańskiemu, sięgającemu swemi falami tam, skąd żywioł polski ustąpił, do Małorosyi, trudno byłoby odgadnąć, dla czego swe myśli wypowiedział po rosyjsku. Jeśli w znacznej części szło mu o wykazanie, że „oskarżanie narodu rosyjskiego w sprawie upadku i rozbioru Polski, jest *nielogicznem*, *bezpodstawowem* i *niesprawiedliwem*,“ to chyba nie pragnął przekonać tej strony, w której języku przemówił. Bo przecież oskarżenia tego nie podnosili pisarze rosyjscy; czyż więc autor chciał w ich szeregu rozprawić się z historyczną nierzetelnością literatury polskiej? Mimo zaznaczonych wyżej punktów, pytanie to pozostawia nas w wątpliwości co do praktycznego założenia autora. Przez większą część broszury i na przekór twierdzeniom dalszych jej stronic dowodzi rosyanom, że polacy nie znają swej historyi, bo nie wiedzą, kto był ich wrogiem a kto przyjacielem, kto winnym a kto niewinnym, wreszcie wkłada w usta pierwszym słowa serdecznego rozczulenia. Czy autor sądzi, że to rozczulenie w teraźniejszości wywołać można tylko za pomocą pochlebstwa w przeszłości, kosztem jej prawdy?

---

## PRZEGRANA SPRAWA.

Teatromania, wyłączne niemal skierowanie uwagi na przedmioty artystyczne, pomijanie zasadniczych spraw życia ogólu— wzbogaciło nas takim chaosem i bezładem pojęć socyologicznych, że trudno byłoby znaleźć drugą literaturę, w którejby na tej niwie tyle porastało chwastów. Gorszem jeszcze od wyznawania przekonań wstecznych jest to, że zwykle nie mamy żadnych. Daremnie trudzilibyśmy się o oznaczenie stanowiska jakiejś partyi, gazety lub książki wobec podstawowych zagadnień społecznych. Kto jest zwolennikiem produkcyi wolnej a kto ograniczonej, kto widzi szczęście narodu we własności większej lub mniejszej, a kto w zbiorowej, kto apostołuje katechizm arystokracyi, kto demokracyi, kto mieszczaństwa, a kto ludu — żaden domysł śród płataniny sprzecznych twierdzeń odgadnąć nie zdoła. Nic też dziwnego, że istnieją u nas pisma demokratyczne, karmiące swych czytelników pochwalnymi opisami zbytkowych uczt arystokracyi, lub inne, prześladujące najlżejszy objaw liberalizmu w kraju, a zapuchlemi od oklasków dłońmi bijące brawo radykalizmowi zagranicznemu.

Od czasu do czasu wszakże gazety nasze usilują uporządkować swe sądy społeczne a przynajmniej uderzyć mocno pewne struny, które głośniej w ich instrumencie odzywać się winny. Na jednej z takich strun, mianowicie na posłannictwie „własności większej“ zagrał świeżo w *Wieku* p. C. Reklewski. Panująca nuta tej pieśni znana. Licząc też na jej popularność autor na wstępie bez zająknienia się oświadcza, że „w żywiole ziemiańskimześrodkowywa się przeważnie reprezentacya krajowego żywiołu, zasób sił moralnych i kierunek zasad(?), na podstawie których społeczeństwo dalszy swój rozwój opierać powinno.“ Ponieważ twierdzenie to, z którejkolwiek strony podważone, wywraca się, pozostawiamy więc łatwe zadanie obalenia go czytelnikowi, który wie, jaki jest u nas liczebny i umysłowo wartościowy stosunek ziemiaństwa do innych żywiołów, niezasługujących u p. R. ani na tytuł „reprezentacyi krajowej,“ ani na posiadanie sił moralnych i zasad. Idzie nam tu bowiem głównie o rozbiór piasku, rzuconego pełną garścią w oczy społeczeństwu, jakoby niszczącemu się rozdrabnianiem własności, parcelacyą.

Autor, patrząc na „ucieczkę ze stanowisk przekazanych dziejowem posłannictwem,“ widząc, jak posiadacze majątków, rozprzedawszy je, wynoszą się do miast i „pomnażają klasę rentierów,“ staje zrozpaczony w kolumnach *Wieku* i wykazuje materyalne oraz moralne następstwa tej nieszczęsnej rejterady.

Naprzód tedy materyalne.

„Tylko gospodarstwa większe, a raczej średnie — powiada p. R. — połączone z przemysłem, stanowią podstawę dobrobytu krajowego; tylko system intensywny, oparty na hodowli inwentarza, melioracyach rolnych, zastosowaniu ulepszonych a oszczędzających czas i pieniądze maszynach, na zakładach przemysłowych, przerabiających surowe produkta rolne, może odpowiedzieć wymaganiom, może dać odpowiednią rentę gruntową.“ Ani tych środków, ani potrzebnej inteligencyi nie znajdujemy u drobnego posiadacza ziemi.

Gdybyśmy na ten dogmat p. R. rzucili światło z polskich książek i pism rolniczych, przedstawiłby się nam dziwny obraz. Mianowicie, dowiedzielibyśmy się z tych dobrze poinformowanych źródeł, że gospodarstwo rolne u nas znajduje się w stanie nader opłakanym, że nasi ziemianie trzymają się wskazówek tradycyjnych i nie znają doświadczeń nowszych, że zastój stężył uprawę roli w formy nieruchome, że wyzyskiwanie jej odbywa się nieudolnie, że w pismach agronomicznych trzeba pomieszczać fejletony i powieści, ażeby przedostały się do dworów — że, słowem, ów „systemat intesywny“ w własności większej i średniej nie daje u nas tak świetnych rezultatów, ażeby go można było użyć za dowód ekonomiczny.

---

[1])

# KLEOPATRA.

Nowella.

Pannie W. Z. Kościałkowskiej
w przyjaznym upominku
Autor.

## I.

Dyrekcyi jednego z teatrów stolicy nadesłano bezimiennie czteroaktową, wierszem napisaną tragedyę pod tytułem: *Kleopatra*. Przeznaczono ją dość prędko do grania i rozdano role najlepszym aktorom; zauważono bowiem, że sztuka ta posiadała wielkie zalety sceniczne i była dziełem prawdziwego, poetycznego natchnienia. Zainteresowali się nią bardzo i artyści i literaci, zaś autorstwo jej przypisywano pierwszorzędnym talentom piśmiennictwa współczesnego. Były to zresztą tylko domysły nieuzasadnione. Miejscowe dzienniki poczęły wkrótce wzywać autora, by nareszcie odsłonił przyłbicę, a nawet zażądała tego urzędownie i reżyserya teatru przez pisma publiczne. Wszystko to jednak było napróżno. Autor *Kleopatry* nie dawał o sobie najmniejszego znaku życia.

Fakt ten niezwykły obudził powszechne zajęcie. O *Kleopatrze* i jej kochankach, których nieznany a niepospolity autor tak świetnie do życia powołał, rozprawiano w małych i większych kółkach literackich, w skromnych pokojach mieszczan i złocistych salonach arystokracyi lub tych, którzy naśladować i łączyć się z nią zwykli. Był to ciekawy i ciągły przedmiot do rozmów towarzyskich nietylko podczas pogodnej jesieni, dżdżystego adwentu, lecz nawet wśród szalonych zabaw i tańców hucznego karnawału. A nawet... podczas pewnej, wystawnej bardzo, lukullusowej prawdziwie wieczerzy, rozmowa po większej części toczyła się o tragedyi, która niezadługo już miała zaspokoić ciekawość tylu osób.

Było to na balu, wydanym przez jednego z krezusów i najpotężniejszych przemysłowców w kraju, na cześć świeżo wykończonej willi, w arystokratycznej dzielnicy miasta. Pałac ten, zbudowany z niesłychanym przepychem i elegancyą, należało nareszcie pokazać ludowi... lecz bardzo oględnie wybranemu. Krezus zaprosił więc na salony, urządzone podług najrozmaitszych stylów, tych tylko, którzy urodzeniem, talentem, powołaniem, majątkiem, lub bogato zdobnym mundurem, od zwykłych różnili się śmiertelników. Licznie zebranym gościom kazano podziwiać meble, sprowadzone wprost z Paryża, — urządzenie sali jadalnej, szczęśliwym trafem zakupione w Wenecyi za marnych franków sto tysięcy, — gobeliny ujęte w stare, dębowe ramy, — buduary, pełne starej saskiej i sewrskiej porcelany, a nadewszystko podziwiać i spożywać polecono najwyszukańsze potrawy, na srebrnych podawane półmiskach, właśnie podczas owej wieczerzy, w zimowym ogrodzie krezusa.

Nic dziwnego, że wśród bujnej i ożywczej zieleni, podczas silnego na ulicy mrozu i przy tak wspaniale podawanej wieczerzy, humor biesiadników był nieporównany... Hrabia Zyzio, małomówny zwykle, dziś z trudnością usiłował i myśli i słowa utrzymać na wodzy; lecz siedząca tuż przy nim panna Lola, córka gospodar-

Pobawmy się wszakże cackiem optymizmu i przypuśćmy z p. R., że gospodarstwa większe wiodą się u nas wzorowo: jaką one dają wskazówkę społeczeństwu? Utrzymać obecne stosunki ziemiańskie — folwarki, otoczone wiankiem drobnych udziałów chłopskich? Korzyść dla tych ostatnich, a zatem dla większości zaludnienia rolnego żadna. Bo jakkolwiek p. R. cuda prawi o dodatnim wpływie dworu na chatę, przyznać musi, że włościanin nie może nigdy naśladować „dziedzica“ w sposobie uprawy ziemi. Cóż z tego, że będzie widział ciągle w gospodarstwie dworskiem młockarnie, sieczkarnie, żniwiarki, młyny parowe, tartaki i t. p., kiedy nie będzie miał za co kupić sobie tych maszyn „oszczędzających czas i pieniądze.“ W najlepszym więc wypadku stosunków dotychczasowych jednostki wyciągną „odpowiednią“ rentę gruntową,“ a masy — nic. Nasuwa się tu p. R. pewna myśl, ale odpędza on ją machnięciem ręki jak natrętną muchę. „Odpowie mi ktoś — mówi — że podobne ulepszenia całe gromady *viribus unitis* wprowadzać mogą. I ja myśl tę podzielę, ale w chwili gdy ujrzę oświatę ludu na wysokim szczeblu stojącą; gdy przekonam się, że zasady solidarności, braterstwa, wspólnego zrozumienia i ocenienia potrzeb i korzyści ludowi temu obecnymi nie będą. Ale do tego .. bardzo a bardzo daleko.“ Jeżeli p. R. myśl tę istotnie podziela, to czy nie słuszniejby zrobił, nawołując do oświaty ludu, niż do utrzymywania większej własności, która dziś pożądanych owoców nie daje a formą stosunków rolnych na przyszłość być nie może? Daleko... bardzo daleko! — woła autor. Nie każda droga krótsza jest lepsza — odpowiadamy. Bez wątpienia, dzisiejsze gospodarstwa drobne nie mogą się zdobyć na wiele środków uprawy ziemi, możliwych jedynie w szerszym jej zakresie; ale dla czegóż nie wierzymy, że parcelacya, powiększając ich rozmiary, podniesie dobrobyt a z nią oświatę, która uświadomi ludowi potrzebę i użyteczność pracy stowarzyszonej? Że dziś gromady wiejskie nie mają zbiorowych młocarń, młynów lub spichrzów—nic dziwnego, skoro nie mają nawet zbiorowych sikawek, i każdy musi własną konewką zalewać pożar swego domu. Ale wszystko to mieć będą, gdy otrzymają to, co jest ważniejsze od ziemi, młocarni, młyna, sikawki i w czem mieści się zaklęty cały postęp ludu — oświatę. Zamiast tedy chwytać za poły uciekających do miast ziemian i zaklinać ich na puste słowa „posłannictwa dziejowego,“ lepiej pomyśleć o tych, którzy pozostają przy ziemi i nie pomnażają zastępu „rentierów.“ Posłannictwo dziejowe spełnia ten, kto podtrzymuje materyalne i duchowe życie narodu, a nie ten, komu przypinamy niezasłużony tytulik zbawczej roli. Po co łudzić siebie i innych pustą frazeologią! Czy posiadacz większej własności trzyma ją *dla tego*, żeby spełnić „posłannictwo dziejowe,“ a opuszcza *dla tego*, że mu się przeniewierzył? Bynajmniej; trzyma dla tego, że mu ona przynosi dochody dobre, a porzuca, gdy daje złe. Wszyscy ci dziejowi męże, którym p. R. tak błyska przed oczyma wielką misyą, zamienią swe folwarki na kamienice lub garbarnie, jeśli się upewnią, że od swych kapitałów otrzymają większy procent.

A rola cywilizacyjna ziemiaństwa! powiada p. R.

I znowu pusty, nadęty frazes. Kto bowiem zna stosunki a nie czuje chęci osłaniać ich publicznie kłamstwem, przyznać musi, że w przeciętnym ich układzie owa rola dworu ogranicza się na rekrutowaniu sobie z włościan służby, na używaniu ich do roboty w polu i wypłaszania zwierzyny w lesie. Inne wpływy są wyjątkami, otrębywanymi przez gazety na wszystkie cztery części świata. A może obecne są wystarczające? Bo jednem z ujemnych, według p. R., następstw nieobecności większych właścicieli ziemskich. jest to, że „nie ma zabaw, niema *polowań*, niema życia.“ Zaiste, smutnem być musi u nas oddziaływanie własności większej na mniejszą, jeżeli *polowania* uważamy za czynnik cywilizacyjny. Naiwność apostołów tego wpływu dochodzi do zdumiewających rozmiarów. Podobnie jak mniemają, że gdy pan puści na pole żniwiarkę, to chłop prędzej zboże swoje zbierze, również sądzą, że gdy panny grają we dworach, dziewczęta wiejskie tańczą w chatach. Apostołowie ci tak stanowczo rozprawiają o cywilizacyjnem posłannictwie posiadaczów większej własności, jak gdyby ci ostatni zwykle z mniejszą spotykali się częściej, niż w procesach o skradzione drzewo lub wypasioną łąkę. Policzmy obywateli, dbających o dobro ludu i jego oświatę, dzielących jego dolę i niedolę, a zobaczymy, ile nam ten rachunek zajmie palców.

Zresztą, po co my mamy dowodzić tej prawdy; niech głos zabierze i zarazem świadectwo swej konsekwencyi wystawi tenże sam dziennik, w którego łamach p. R. tak parcelacyę zgromił a w którym (235) ktoś inny tak twierdzi: „Reprezentanci większej własności, *z małymi wyjątkami niestety*, albo nie mieszkają w swoich majątkach, albo, jeśli są na miejscu, to nie gospodarują sami, lecz wydzierżawiają majątki. Tem samem większa własność *chybia swego celu*, bo zamiast dania przykładu, zachęcenia mniej możnych swoją gorliwością, przygarnięcia kilkunastu rodzin oficyalistów, praktykantów, uczniów gospodarskich i uczniów rzemieślników, którzy w większym majątku są nieodzowni, oddaje swoje dobra ludziom, których umysł często nie sięga wyżej nad medytowanie nad ułowieniem rubla. Ulepszenia, ozdoby majątku, myśl jakaś szlachetniejsza nie zawita do końca świata u takich dzierżawców.“

Wiemy, co p. R. i jego współwyznawcy odpowiedzą nam na ten bukiet spostrzeżeń, z pół powiatu zwiachelskiego zebrany: u nas inaczej... A gdybyśmy znowu przedstawili dowody z powiatu płockiego lub gostyńskiego, przeniesionoby ów niewidziany raj ziemiański do radomskiego lub kieleckiego. I tak gonilibyśmy się, jak dotąd gonimy się z powiatu do powiatu, co wyznawcom dziejowego posłannictwa większej własności znacznie ułatwia apostolstwo. Ostatecznie fakt pozostanie faktem, że posiadłość ziemi u nas rozłamuje się, że proces ten dźwignie dobrobyt i oświatę ludu, pomimo „dziejowego posłannictwa,“ oraz obron ekonomicznie *przegranej sprawy*.

*D.*

---

## ELEKTRYCZNOŚĆ W PRZEMYŚLE.*)

I.

Według badań geologicznych, pokłady węgla kamiennego, względnie do rosnącego wciąż zużycia paliwa w Europie, wystarczyć mogą zaledwie na dwa wieki, po których upływie nowożytna cywilizacya utracić może swe podstawy bytu, jeżeli siła ciepła, ożywiająca przemysł, nie będzie czerpaną z innych źródeł. Stąd konieczność poszukiwań nowej dźwigni w naturze, mogącej zastąpić węgiel.

Zadanie nie jest łatwem do rozwiązania, gdyż trudno znaleźć ciało, w którem-by siła ciepła słonecznego tak potężnie była skupiona, jak w węglu kamiennym. Geologowie twierdzą, iż dziewięć milionów wieków trwania okresu węglowego składało się na wytworzenie tego palnika, który rozkładając się w odpowiedniej temperaturze, oddaje nam ilość ciepła równo-

*) Wystawa elektryczna w Paryżu zajęła tem zagadnieniem świat naukowy i przemysłowy. Niezależnie od późniejszego zsumowania rezultatów owej wystawy, pomieszczamy obecny artykuł, uprzystępniający czytelnikom ważną kwestyę naszego wieku (*Red*).

---

stwa domu, przyjmowała wszystko z czarownym uśmiechem zadowolenia.

Hrabia Zyzio miał wielki majątek, przy tem wielkie długi, wielkie do kart i płci pięknej zamiłowanie, stąd wszyscy w tym domu, począwszy od gospodarza, skończywszy na służbie, przyjmowali bardzo uniżenie tego króla złotej młodzieży.

Nieopodal od panny Loli siedział pan Marek, młody jeszcze człowiek, felietonista brukowego dziennika *Kotek*, w którym wszystkie artykuły swego pióra, podpisywał pseudonimem "Marek Aureliusz.“ Z niezbitem przekonaniem o wielkości swego talentu pisarskiego, zbywał półsłówkami zagadującego go sąsiada.

— Pan, o ile słyszałem, pisywał dawniej poematy? — pytał sąsiad niedyskretnie.

— O tak!... — odrzekł nareszcie z westchnieniem p. Marek — dawniej, to się pisało... o tak!... i ja kiedyś byłem Farysem...

— Słyszałem, że i pan przyjął podobno udział w ogłoszonym konkursie dramatycznym — pytał znów sąsiad natrętnie.

— Napisałem nowy dramat.

— Pod tytułem?...

— Tytuł?... pan pyta tak obojętnie, a wszak to rzecz nie mała. Dobry tytuł, to przecie wszystko znaczy. Ja znalazłem tytuł świetny dla swego dramatu, którego dziś jeszcze wymienić nie mogę...

— A w iluż aktach?...

— W pięciu, lecz napisałem aktów półtora... Chciałem to posłać tym... sędziom konkursu, żeby choć z tej odrobiny poznali, co to jest talent prawdziwy, lecz następnie rozmyśliłem się... nie warto...

Chciał powiedzieć coś więcej ten autor niedokończonego dramatu, lecz wstrzymał się, spostrzegłszy skierowane ku sobie szyderczę spojrzenie siedzącego naprzeciwko, pana Agatona, surowego krytyka *Dzwonu*, niedawno założonego organu, który przyrzekał w prospekcie zbratać tradycyę narodową z towarzystwami akcyjnemi, a religię z telefonem. Krytyk ów pragnął wtrącić się do rozmowy i w proch zetrzeć z etatu spadłego Farysa, lecz dał pokój, pomyślawszy sobie:

— Nie warto znęcać się nad taką miernotą!...

I zwrócił się w stronę, z której dochodziły go głosy bardzo żwawo prowadzonej rozmowy, między pewnym, w błyszczący mundur przystrojonym jegomościem, a wujciem Janem, krewnym i przyjacielem domu.

Jegomość ów, był to wojak, bohater z niedawnej przeszłości, widziany i przyjmowany bardzo chętnie na salonach arystokracyi rodowej i pieniężnej; a wujcio Jan, mający po za sobą świetną przeszłość donżuańską, był krewnym i przyjacielem nietylko tego jednego domu. Okoliczność ta była powodem, że wiele bardzo pań bez żadnej ku temu legitymacyi nazywało go wujciem, a on, w żartach i na seryo, nazywał znów ciocią i wycałowywał rączki każdej, która miała szczęście choć trochę mu się podobać.

Przy stole miał obok siebie dwie młode i wesołe mężatki, że zaś ładne były bardzo, więc całował je wciąż w ręce i sprzeczał się z niemi, że królową balu był nie kto inny, lecz tylko panna Lola.

— Ależ wujciu! — przerwał, poprawiając akselbandy, siedzący obok wojak, gdyż i on w pewnych fazach swego umysłu uważał się za młodą kobietę i pana Jana nazywał wujciem, — ależ wujciu, ubliżasz wszystkim damom tu obecnym!...

ważną sumie ciepłostek, nagromadzonych przez wieki pod wpływem słońca.

Życie natury, objawiające się ciągłą przemianą materyi, ma także swą przyczynę w bezustannej działalności ciepła słonecznego, dzięki któremu, prócz cieplika nagromadzonego w węglu kamiennym, istnieje w świecie bardzo wiele innych sił. Ruchy wód i wiatrów są tego najlepszym dowodem.

Woda, ogrzana ciepłem słonecznem, zamienia się na parę, podnoszącą się w wyższe warstwy atmosfery, gdzie tworzy obłoki, a po zbytecznem naładowaniu ich i zmianie temperatury, zgęszczając się, spada następnie w postaci deszczu i sprowadza spadki wód.

Atmosfera, otaczająca kulę ziemską, będąc gęstszą bliżej ziemi, skupia w sobie większą ilość ciepła słonecznego nad ziemią, niż w wyższych jej sferach; — stąd różnica ciśnień i uruchomienie różnych warstw powietrza.

Skutki tych przemian spożytkowywane są dzisiaj, w pewnej mierze, za pomocą silnic hydraulicznych; lecz gdy węgiel kamienny wyczerpie się, wówczas ludzkość zmuszona będzie szukać ocalenia swej cywilizacyi w całkowitem zużyciu sił poruszających wody i wiatry, dla wytworzenia nietylko siły, lecz ciepła i światła, któreby można było skupiać, przenosić i rozdzielać stosownie do potrzeb przemysłu.

Ścieśnione powietrze, pozwalając zbierać siłę i przechowywać ją, rozwiązuje w części zadanie, lecz w przypadku zamiany pracy na ciepło i światło, droga ta wymaga za wiele przewodników mechanicznych, więc jest mniej praktyczną.

Zużycie pracy spadających wód i poruszających się wiatrów, w ogólnem znaczeniu tego wyrazu, osiągnięte być może jedynie tylko przez zamianę ciepła słonecznego, będącego przyczyną tych ruchów wód i wiatrów, na elektryczność, co stanowić będzie, w chwili gdy węgla zbraknie, główną dźwignię przemysłu.

Dotychczas w poszukiwaniu źródeł elektryczności, czyli że tak nazwę „elektrorodników“ (*générateurs d'électricité*) postępowano w dwojaki sposób: mechaniczny i chemiczny. Pierwszy z nich polega na zamianie pracy mechanicznej na elektryczność.

Źródła elektryczności mechaniczne, czyli maszyny elektro-magnetyczne albo dynamo-elektryczne: de l'Alliance, Gramma, Siemensa, są wynikiem tych idej.

Jakikolwiek motor, maszyna parowa, koło hydrauliczne lub wiatrak, wytwarzając pracę, porusza wał, na którym znajdują się cewki, owinięte drutem miedzianym, i takowe obracają się w bliskości magnesów — a zrodzony prąd indukcyjny, przerywany lub ciągły, przesyłany za pomocą drutów zewnętrznych, sprowadza wszystkie zjawiska elektryczne, a w szczególności przyciąganie magnetyczne, będące działaczem w motorach elektrycznych.

Gdy paliwo się wyczerpie, wówczas maszyna parowa pozostanie tylko jako pomysł, i jeżeli nowe odkrycia nie wskażą możebności zapewnienia przemysłowi siły światła i ciepła, wtedy jedne tylko motory hydrauliczne stosowane będą do poruszania maszyn, wytwarzających mechanicznie elektryczność.

Doświadczenia, wykonane z maszynami Gramma, obecnie używanemi w tym celu, okazały, że ich wydajność zmienia się od 32% do 50%, stosownie do prędkości, jaką im nadajemy, i do odległości elektrorodnika mechanicznego od motoru elektrycznego, odbierającego działanie prądu. Widzimy więc, że potrzeba zużyć dwa do trzech koni parowych, aby wytworzyć jednego konia elektrycznego w maszynie Gramma. Zatem źródła mechaniczne rozwiązują zadanie oszczędnego wytwarzania elektryczności.

Od motoru hydraulicznego lub też od kotła i motoru parowego do elektorodnika mechanicznego, a nakoniec do motoru elektrycznego, droga jest zbyt długa. Nie wchodząc tutaj w badania istoty rzeczy, zaznaczamy, iż zczasem zdoła kto może wyrugować maszynę parową oraz elektryczną Gramma, a elektryczność czerpana będzie bezpośrednio z węgla i wody, gdyż wszystko, co się znajduje obficie w naturze, ma swoje przeznaczenie i spożytkowanem być musi odpowiednio do rozwoju postępującej wciąż cywilizacyi.

Maszyna parowa zużywa zaledwie $^1/_{10}$ część ciepła zawartego w węglu, z powodu strat sprowadzonych ogólnem promieniowaniem ciepła, ulatywaniem w powietrze z dymem, oraz parą jeszcze nieoziębioną zupełnie, a wychodzącą z cylindrów parowych; więc jeżeliby odkryto sposób wydobywania elektryczności wprost z węgla, przez bezpośrednią zamianę ciepła na elektryczność, naówczas, być może, iż $^9/_{10}$ części obecnie tracącego się ciepła przy spaleniu węgla byłyby spożytkowane, i wtedy węgiel zamiast na dwa wieki, wystarczyłby na 2,000 lat, a ilość w ten sposób otrzymanej elektryczności byłaby znacznie większą, zatem tańszą od otrzymanej z elektrorodników mechanicznych.

Źródła elektryczności chemiczne, czyli stosy elektryczne, uważane ze stanowiska przemysłowego, są stosunkowo jeszcze kosztowniejsze, słabsze od źródeł mechanicznych, oraz dają natężenia niejednostajne, których zamiana na pracę mechaniczną jest niepewna.

Wziąwszy pod uwagę, czy to stosy pierwotne o jednym płynie, systemu Volty, Wollastona, i t. d., czy też ulepszone, przez użycie dwóch płynów, Daniella, Bunsena, Leclanche'a i t. d., wszystkie te przyrządy polegają na spaleniu w nich cynku za pomocą kwasów: siarczanego albo azotnego. Doświadczenia wykazały, że chcąc wytworzyć w ten sposób siłę jednego konia elektrycznego 75-cio kilogrammetrowego, potrzeba zużyć na godzinę 2 kgr. cynku, które kosztują 1,50 fr., oraz za 2 fr. kwasów t. j. razem wydać 3,50 fr., wówczas gdy takiż sam koń parowy kosztuje tylko 0,10 fr., t. j. 35 razy mniej, co stanowi najważniejszą przyczynę niepraktyczności źródeł chemicznych.

W każdym systemie stosów jednopłynowych, palenie cynku za pomocą kwasu siarczanego, dla wzbudzenia elektryczności, sprowadza wytwarzanie się siarczanego cynku, który łatwo rozpuszczając się w wodzie, znajdującej się w stosie, stopniowo osłabia prąd, zaś wydzielający się jednocześnie wodór stanowi wielką niedogodność w praktyce.

Stosy dwupłynowe usuwają wprawdzie niedogodność wydzielającego się wodoru przez spalenie go, albo za pomocą siarczanu miedzi w stosie Daniella, albo też za pomocą kwasu azotnego w stosie Bunsena; lecz ponieważ ten płyn dodatkowy znajduje się w naczyniu dziurkowatem, przeciska się więc przez pory naczynia, niszczy cynk bezużytecznie i sam zużywa się bardzo prędko. W skutek tego, stosy Daniella dają prądy za słabe, chociaż długotrwałe, a stosy Bunsena wytwarzają prądy silne, lecz słabnące stopniowo w krótkim czasie. Jest to druga niedogodność, utrudniająca zastosowanie źródeł chemicznych w przemyśle elektrycznym.

Oprócz tych niedogodności dodać jeszcze musimy, że chociaż suma natężeń prądu elektrycznego, wytworzonego przez spalenie cynku, za pomocą kwasu w stosie, jest równoważną sumie prężności pary, wytworzyć się mogącej przez spalenie takiejże samej ilości cynku, za pomocą powietrza w ognisku zwyczajnem parownika,— to jednak, z samej natury elektryczności, w obecnym stanie rozwoju elektrorodników chemicznych, wynika trudność zamienienia na pracę mechaniczną tej części natężeń prądu elektrycznego, którą zużyć potrafimy mechanicznie. Nie zachodzi to przy spożytkowaniu w maszynach części ciepła zawartego w parze wodnej.

W motorach parowych umiemy zamienić, praktycznie mówiąc, na pracę mecha-

---

— *Mais mon cher général!* — przerwał wujcio Jan, — to nikomu nie ubliża, że panna Lola jest dziś taka śliczna. Spojrzyjcie państwo i osądźcie sami. Oczy wielkie, czarne, błyszczące, jak dwa węgle, też same oczy, które otrzymała w spadku po swej babce, hiszpance. Co to musiała być za kobieta! jaka to szkoda, że mnie nie znała!... Przy takich oczach — dodał, unosząc się i machając rękoma, — cera biała, matowa, na przekorę czarnym, jak kruk, włosom! A biust? a ramiona?... Co?... Przyznacie panie ze wstydem, że najpiękniejsze w całej stolicy!... A jak ona się dziś ubrała!... ile to konferencyj być musiało z panią Józefiną!... jakie to gustowne te złote przepaski w jej kruczych włosach!... Doprawdy! ta kobieta przypomina mi Kleopatrę!...

— Kleopatrę?... — odezwała się z uśmiechem jedna z sąsiadek wujcia, — a gdzież jest żmija?...

— Żmiją jest każda z pań, która jej zazdrości — odrzekł rezolutnie wujcio; i nalawszy sobie pełen kielich musującego nektaru, powstał i wygłosił następującą oracyę:

— Panie i panowie! Narody, stojące na jakimkolwiek stopniu cywilizacyi, składały zawsze hołd piękności, przyobleczonej w żywe kształty niewieście. Trudno zaprzeczyć, że i my, tu obecni, stanowimy cząstkę narodu; trudno zaprzeczyć, że i my stoimy na pewnym stopniu cywilizacyi: więc biesiadnicy tego stołu, oddajmy hołd najpiękniejszej wśród nas, wypijmy zdrowie Kleopatry!...

— Wiwat!...

— Niech żyje!... — zawołali panowie i wychylili duszkiem kieliszki.

— Kto? — zapytali niektórzy, wprzód wychyliwszy kielichy.

— Kleopatra — odrzekł jeden z lekarzy, pilnie wyszukujący ananasowych kawałków w kompocie.

— Lecz któż to taki?

— Albož ja wiem — odrzekł — kazali pić, więc piję; mogę zaś pana zapewnić, że wedle ostatnich postępów medycyny jest to najzupełniej wszystko jedno, czy wypiję za pańskie, czy za Kleopatry, czy też za swoje zdrowie...

— Kto jest tą Kleopatrą, panie Gustawie? — zapytał sąsiada siedzący przy końcu stołu, młody i lubiany przez słuchaczów, profesor uniwersytetu.

— Kleopatra? — odrzekł, zająknąwszy się sąsiad — nie wiem... nic o niej nie słyszałem...

— Słyszałeś kolego! — rzekł śmiejąc się profesor — skoro skończyłeś filozoficzny wydział uniwersytetu, tylko nie wiesz, o kim obecnie jest mowa. Czy nie czasem o pannie Loli, w którą wpatrujesz się z takim zachwytem? Daj pokój i nie zaprzątaj sobie nią głowy, to nie dla ciebie kobieta.

— Ja?... ja?... ja nic nie wiem — odrzekł zmieszany i zarumieniony Gustaw — ja nie wiem, kto jest Kleopatra.

— To musi być zapewne mowa o Kleopatrze, tym nowym dramacie nieznanego autora — pochwycił Marek Aureliusz, który przed chwilą dwa kieliszki wychylił za zdrowie Kleopatry.

— Czy pan wiesz, kto jest autorem tej sztuki — zapytał profesor.

— Nie wiem — odrzekł fejletonista *Kolka*. Lecz uśmiechnął się w tak dziwny sposób, że w uśmiechu tym pragnął ułatwić widzom rozwiązanie zagadki.

Niebawem też od Kleopatry, królowej balu, rozmowa poszła do faktu, będącego

niczną zaledwie $^1/_{10}$ część ciepła wytworzonego w ognisku, lecz spożytkowanie to jest pewne i dokładnie określone; w motorach zaś elektrycznych, obecnie znanych, nie wiemy, jak znaczną jest ta część elektryczności wzbudzonej w stosie, którą usiłujemy zmienić na pracę mechaniczną.

Wiadomo z doświadczenia, że prąd elektryczny, przepływając przez system materyalny, wytwarza w nim: rozgrzanie swych przewodników, wydzielanie iskier, prądy indukcyjne, namagnesowanie i t. p. Jedno tylko przyciąganie magnetyczne — i to jeszcze z trudnością — zużyć potrafimy mechanicznie, gdyż wszystkie inne zjawiska, towarzyszące przepływowi prądu elektrycznego, giną bezużytecznie, a co ważniejsza, że ta część pracy elektryczności, która je tworzy, nie jest stałą, gdyż zależy od oporów, napotykanych przez prąd w okręgu elektrycznym (*circuit électrique*), które nigdy nie mogą być stałymi. To też przyciąganie magnetyczne jest zmienne i z tego względu z trudnością ująć się daje jako działacz. Spostrzedz to można w maszynie elektrycznej p. Fromont.

Maszyna ta, poddana działaniu prądu wzbudzonego stosem, mając do pokonania opór stały, obraca się najprzód z prędkością rosnącą. Wkrótce druty elektryczne rozpalają się do czerwoności i niekiedy w miejscach cieńszych topią się, pokazują się iskry, a cewki rozgrzane nie mogą się namagnesować i maszyna nagle się zatrzymuje. Pochodzi to z niemożebności wyznaczenia masy uzbrojenia, poddanego działaniu prądu elektrycznego, gdyż jego natężenie zmienia się stopniowo a uzbrojenie, odpowiadające prądowi otrzymanemu na początku działania stosu, po chwili będzie zbytecznem. Jeżeliby masa uzbrojenia była wyznaczoną według natężenia prądów końcowych, naówczas byłaby zasłabą dla początkowego działania stosu i prędkość z początku rosłaby tak szybko, że maszyna nie mogłaby wykonać żadnej pracy użytecznej.

Wielu uczonych tę ostatnią niedogodność zamiany prądów elektrycznych na pracę mechaniczną przypisuje zbyt niskiej temperaturze, towarzyszącej wydobywaniu się elektryczności w stosach.

Z powodów wyżej wyszczególnionych, nowoczesny przemysł wytwarzania i zastosowania elektryczności jest jeszcze w kolebce, lecz spodziewać się należy, jej przyszłość nie jest zbyt daleką, gdyż bezustanne tworzenie się elektryczności w naturze jest obfite i skoro tylko ten tajnik, który dziś zaciemnia dokładne zbadanie jej odmiany od ciepła, odkrytym będzie, wówczas elektryczność owładnie przemysł a dziś śmiało powiedzieć można, że jak mieliśmy w dziejach ludzkości wieki: krzemienny, złoty, srebrny, żelazny, cel, tak teraz jesteśmy, bez wątpienia, w peryodzie przejściowym do wieku elektrycznego. (D. n.)

*Antoni Sękowski*
inżynier cywilny.

## SAMOBÓJSTWA WE FRANCYI.

„Słyszymy często, że liczby rządzą światem; to jednak pewna, że liczby wskazują, jak on jest rządzonym.“

Temi słowy wielkiego twórcy *Fausta* rozpoczynamy pogadankę, aby, powoławszy się na nie, usprawiedliwić, bez wszelkich dłuższych wywodów, ważne znaczenie, które nadajemy liczbom.

Pozwolisz bowiem, czytelniku, że wraz z tobą uczynię maleńką wycieczkę w tę nudną krainę. Przewodnikiem naszym w tym względzie będą na teraz złożone niedawno właśnie prezydentowi rzeczypospolitej francuskiej urzędowe wykazy statystyki kryminalnej we Francyi za rok 1879. *(Le comte général de l'administration de la justice criminelle pendant l'année* 1879).

Z rzędu zawartych w nich danych wyjmuję dziś te tylko, które dotyczą samobójstw, aby za pomocą wymownego języka liczb przedstawić krótko, w jakiej mierze, w jakich okolicznościach i wskutek jakich pobudek ludzie najczęściej targają się obecnie na życie własne we Francyi.

Ogólna suma samobójstw we Francyi w r. 1879 wynosiła 6,496, tak że jedno wypadało przeciętnie na 5,621 mieszkańców.

Jak wszędzie, podobnie i tu, wypadki częstszymi były wśród mężczyzn, niż wśród kobiet, tak dalece, że liczba samobójców w czwórnasób prawie przewyższała liczbę samobójczyń. Pierwszych bowiem było 5.161, drugich tylko 1.335. Różnica ta stanie się większą jeszcze, gdy zwrócimy uwagę, iż ogólna ilość kobiet we Francyi dość znacznie przewyższa ilość mężczyzn. Zestawiwszy odnośne dane, dochodzimy do wniosku, że wówczas, gdy wśród ludności męskiej 1 samobójstwo przypada w przybliżeniu na 3,504, — z pomiędzy kobiet spełnia je zaledwie jedna na 13,590.

Prócz płci, skłonność do samobójstwa zależy wielce od wieku. W dzieciństwie oraz młodości człowiek rzadko dobrowolnie przecina pasmo swego życia; czyni to zaś częściej stosunkowo wobec nadchodzącej starości, której obawa, łącznie z doznanymi zawodami, odbiera mu często chęć do dalszego życia. W późnym wieku liczba samobójstw znowu zmniejsza się, wskutek właściwego temu okresowi braku energii i odwagi.

Ogólne te prawa w zupełności potwierdzają się przez dane.

Mianowicie. w liczbie 6,343 samobójstw, których wiek zdołano oznaczyć, było:

| W wieku | mężczyzn | kobiet | razem |
|---|---|---|---|
| do lat 16 | 38 | 23 | 61 |
| od 16 do 21 | 187 | 79 | 266 |
| „ 21 „ 40 | 1,270 | 365 | 1,635 |
| „ 40 „ 60 | 1,966 | 467 | 2,433 |
| więcej niż 60 | 1,560 | 388 | 1,948. |

Oprócz czysto naturalnych warunków, do których należy płeć i wiek, pod względem wpływu na liczbę samobójstw ważną gra rolę stan rodzinny, miejsce zamieszkania (na wsi lub w mieście) i wreszcie sposób do życia.

Co się tyczy położenia rodzinnego samobójców, to najmniej stosunkowo spotykamy wśród nich osób, związanych błogimi węzłami hymenu, najwięcej zaś owdowiałych. Z pomiędzy 6,301 samobójców, o których zebrano wiadomości co do ich położenia rodzinnego, na żonatych i mężatki przypadało 2,929, na kawalerów i panny— 2241, na wdowców i wdowy zaś 1131. Zestawiając cyfry powyższe z danemi, wykazującemi podział ludności Francyi pod względem położenia rodzinnego, przekonywamy się, że podczas gdy na 100.000 osób, pozostających w związkach małżeńskich, zdarza się tylko 19 samobójstw, — ze 100,000 bezżennych lub niezamężnych pozbawia się życia 29, a ze 100,000 owdowiałych — aż 38.

Pod względem pochodzenia i miejsca zamieszkania samobójców, liczba ich ogólna (6,494) rozdziela się w sposób następujący:

3,341 samobójców mieszkało na wsi
3,082 „ „ w mieście
73 — miejsce zamieszkania niewiadome.

Nie posiadając dokładnych danych co do stosunku ludności miejskiej i wiejskiej we Francyi w roku sprawozdawczym, ograniczamy się tu tylko na ogólnej uwadze, że wobec znacznie miejszej ilości mieszczan, samobójstwa śród nich stosunkowo częściej się zdarzają, niż śród spokojnych wieśniaków.

Ważny nader wpływ na większe lub mniejsze usposobienie do samobójstwa wywiera zawód i sposób zarobkowania. W tym względzie we wspomnianym wykazie znajdujemy następujące ciekawe dane:

---

najbardziej na dobie i wszyscy niemal rozprawiać poczęli o nowym dramacie nieznanego autora. W tem przez szparę w oknach szklannego dachu rozpostartego nad zimowym ogrodem między rozweselonych biesiadników wpadło kilka płatków śniegu.

— Śnieg!... — zawołało wielu zdziwionych tem, że śnieg padał w zimie.

— Śnieg! — zawołało wielu takich, którzy go się nigdy nie tykając zbliska, nie znali różnicy między ciepłem a chłodem, dla których całe życie było jednym rozkosznym dniem letnim.

— Śnieg!... — zawołały panie i zarzutką poczęły okrywać obnażone ramiona.

— Śnieg!... panno Lolo — odezwał się Marek Aureliusz — to ironia balu!...

Panna Lola spojrzała na szklane tafle dachu, skąd właśnie spadał jeszcze jeden płatek śniegu. Wszystkie spojrzenia ciekawie zwróciły się ku niemu, a wszystkie światła załamały się wjego drobnych, kryształowych kształtach. Migotał w powietrzu brylantowym blaskiem, tak krótkim, jak jego istnienie, kręcił się, jak gdyby szukał drogi najpewniejszej, padł... i spłynął po białych panny Loli ramionach.

— Ah!... wyrwało się jednozgodnie z kilku ust zdziwionych.

— Brawo!... jaki sprytny ten płatek śniegu!... — odezwał się wujcio Jan.

— Jaki on szczęśliwy!... — szepnął hrabia Zyzio.

— Płatek śniegu za takie królestwo... to jest... królestwo za taki płatek śniegu!... — z emfazą zawołał Marek Aureliusz.

— Panowie!... — rzekł uroczyście, z miejsca powstając, wujcio Jan. Byliśmy tu świadkami wypadku, jaki nie na każdym zdarza się balu... *Cher général!* nie umizgaj się tak bardzo do cudzej żony!... Zastanówcie się sami, ile tu sprzeczności!... Śnieg, symbol zimna i nędzy... tu, wśród tej uczty wystawnej; jeden płatek śniegu urąga wszelkiej etykiecie świata i osiada na białych ramionach pięknej panny Loli!... Czy taki fakt nie zasługuje na uwiecznienie w obrazie, piśmie, poezyi?... Wzywam więc was, wszystkich tu obecnych, arystokratów i kupców, profesorów i literatów, a nawet lekarzy i adwokatów, o zamknięcie tego całego wypadku w jakimś gładkim sonecie. Daję pięć minut czasu do namysłu i czekam wierszowanej mówki, pod grozą okrzyknięcia wszystkich was za nieuków!

Siadł i spojrzał na zegarek, a całe towarzystwo przyjęło jego mowę śmiechem serdecznym i oklaskami.

— Panowie! ja nie żartuję! — rzekł sero wujcio.

Przy stole zapanowała cisza.

Fejletonista *Kołka* poruszył się na krześle, wziął do ręki kieliszek, uśmiechnął się, potem przybrał minę poważną i miał w wiązanej mowie rzucić coś spragnionym tłumom, lecz powiódłszy okiem po biesiadnikach:

— Nie warto! — pomyślał, a tylko jednym tchem wychylił kieliszek wina.

— Już upłynęły dwie minuty! — wygłosił pan Jan.

Hrabia Zyzio nalał sobie pełny kieliszek wina, chrząknął mocno, jak gdyby miał rzec coś, lecz spojrzawszy na gości przy stole zgromadzonych, i nie znalazłszy nikogo, któryby mu równy był urodzeniem:

— Nie warto!—szepnął do siebie i zwilżył usta winem.

631 samobójców nie posiadało stałego zajęcia i sposobu zarobkowania
1,311 trudniło się rolnictwem
3,380 „ „ handlem lub przemysł.
344 „ „ służbą domową
830 „ „ zajęciami wyzwolonemi.

W rzędzie 830 samobójców, którzy oddawali się zajęciom wyzwolonym, znajdujemy:

Właścicieli nieruchomości lub kapitalistów 539; wojskowych lub marynarzów 149; urzędników 55; nauczycieli 11; księży 4; zakonnik 1.

Chociaż wszystkie okoliczności, powyżej przytoczone, wpływają mniej lub więcej wyraźnie na ilość samobójstw, lecz wpływ ich jest naturalnie nader pośrednim i dalekim, usposabiając tylko w większym lub mniejszym stopniu do targnięcia się na własne życie. Ciekawem przeto jest zapoznanie się z bezpośredniemi pobudkami, skłaniającemi do położenia kresu swojemu istnieniu. Pod tym względem w pomienionych wykazach spotykamy dane następujące:

| | |
|---|---|
| Choroby umysłowe wywołały samobójstw | 1,968 |
| cierpienia fizyczne „ | 887 |
| zmartwienia rodzinne „ | 863 |
| pijaństwo „ | 854 |
| nędza lub obawa jej „ | 752 |
| rozwiązłość i złe powodzenie „ | 284 |
| chęć uniknięcia odpowiedzialności sądowej „ | 241 |

wreszcie w 207 wypadkach powodem samobójstwa były różne szczególne pobudki, a w 440 wypadkach pobudek tych nie wykryto zupełnie.

Tak więc głównym powodem samobójstw bywają cierpienia umysłowe, tudzież wszystkie te okoliczności, które wywołują chwilowe zboczenia umysłu w mniejszym lub większym stopniu, a do których należą przed innemi cierpienia fizyczne i moralne, oraz pijaństwo. Odnieść tu nawet można takie pobudki, jak nędza, rozwiązłość i obawa karzącej ręki sprawiedliwości, gdyż wszystkie te czynniki, jako połączone z obawą i przerażeniem o groźne jutro, wywierają również mniejszy lub większy nacisk na mózg i wyprowadzają go ze stanu normalnego.

Powieszenie i utopienie należą do sposobów zadania sobie śmierci, najczęściej przez samobójców używanych. Tak naprzykład, w roku sprawozdawczym we Francyi powiesiło się 2858 osób, utopiło się zaś 1881.

A cóż odpowiecie, czytelnicy, na pytanie: w której porze roku zdarza się najwięcej zamachów na własne życie? Może posądzilibyście o wpływ tak zgubny „ponurą" jesień?

Najniesłuszniej, gdyż właśnie w jesieni najmniej samobójstw się zdarza, a przeciwnie, wiosna — owa wiosna, która — jak twierdzą powszechnie — „wlewa w piersi balsam otuchy i wiary" — pod względem liczby samobójstw na honorowe, choć wcale niezaszczytne, zasługuje miejsce. Na drugim planie stoi pod tym względem lato, na trzecim — zima, a jesień dopiero na ostatnim.

Oto cyfry:

| | |
|---|---|
| W czasie wiosny 1879 r. było samobójstw | 1,991 |
| „ „ lata „ „ | 1,833 |
| „ „ zimy „ „ | 1,474 |
| „ „ jesieni „ „ | 1,198. |

Dziwny ten napozór objaw wytłomaczyć można, między innemi, tem, że właśnie w czasie, gdy cała przyroda budzi się do życia i rozkwita, widok jej wobec wewnętrznej rozterki, szarpiącej ducha, wobec strasznego położenia bez wyjścia, wobec rozpaczy, ciążącej w sercu kamieniem, rozpacz tę siłą kontrastu wzmaga i wywołuje zarazem chęć zwolnienia się od więzów życia...

*F. N.*

---

## HENRYK SCHLIEMANN.

Są ludzie, których działalność obfituje w wyniki tak doniosłe a zabiegi uwieńczane bywają tak przewyższającym najśmielsze rojenia skutkiem, iż współcześni z niedowierzaniem prawie spoglądają na nich, a ci, którzy nie starają się zbadać przyczyny niezwykłego ich powodzenia, uważają ich za „dzieci szczęścia." Jeżeli przy tem ich działalność posiada znaczenie ogólno ludzkie, jeżeli zając zdoła wszystkich, imiona ich za życia jeszcze pokrywają się jakimś nimbem sławy, a samo ich wspomnienie przywodzi na myśl owe cel, do którego dążyli śród przeszkód i trudów.

Do rzędu ludzi podobnych zaliczyć należy niewątpliwie Henryka Schliemanna. Widząc, jak człowiek ten zanicią przewodnią, wysnutą z pieśni Homera, z niezwykłem szczęściem natrafiał na zagrzebane pod ziemią pomniki dawnej chwały greków i trojan; jak z pod gruzu zburzonych dłonią czasu budowli wydobywał prawdziwe skarby starożytnego świata; jak wreszcie w pagórkach rosypanych po dolinie Małej Azyi umiał doszukać się szczątków bohaterów, których sława przetrwała całe dziesiątki wieków—przypominają się nam mimowoli baśnie o czarownikach wszystkowiedzących, przed których wzrokiem nic ukryć się nie mogło.

W latach młodzieńczych, zbudzone niezrozumiałymi dlań jeszcze dźwiękami kilku wierszy z *Iliady*, powstało w duszy biednego podówczas chłopca gorące pragnienie uchylenia zasłony tajemniczej, kryjącej świetną przeszłość dwu narodów starożytnego świata. Pragnienie to uczony, możny, rozporządzający niezwykłymi środkami Schliemann urzeczywistnił. Aby jednak zrozumieć, ile trudów przeniesć, ile przeszkód zwalczyć musiał, wypada rzucić okiem na przeszłość, zapoznać się z dziejami człowieka, który śród ciężkiej walki o byt, śród starań o chleb powszedni ani na chwilę nie spuszczał z oczu zamierzonego celu, który go osiągnąć zdołał wreszcie jedynie dzięki niezwykłej swej wytrwałości i niezmordowanej pracy.

Henryk Schliemann urodził się w dniu 6 stycznia 1822 roku w meklemburskiem miasteczku Nowy Bukow. Dziecięce lata spędził w jednej z okolicznych wiosek. Na łonie przyrody, pod wpływem podań krążących śród ludu, a w części i książek, czerpanych z niewielkiego zbioru ojca, ubogiego kaznodziei protestanckiego, rozwinęła się wcześnie fantazya ośmioletniego chłopca, czemu sprzyjała również niezwykła z natury wrażliwość. Śmierć matki i różne nieszczęścia rodzinne wpłynęły na zmianę losu Schliemanna; w dziewiątym roku życia wuj, który nim się zaopiekował, oddał go do gimnazyum w Neu-Strelitz. Brak środków materyalnych nie pozwolił mu ukończyć nauk; w czternastym też roku życia Schliemann z ławki szkolnej przechodzi do sklepu korzennika z Fürstenbergu. Tu na ciężkiej pracy spędza lat kilka. Pragnienie wiedzy nie pozwoliło mu jednak uwięznąć w odległym zakątku. Pieszo udaje się do Hamburga, stamtąd jako chłopiec okrętowy przybywa do Hollandyi a wreszcie do Amsterdamu, gdzie zdołał otrzymać miejsce w jednym z domów handlowych. Mając byt częściowo przynajmniej zabezpieczony, w godzinach wolnych od pracy zajął się nauką języków nowożytnych. Wkrótce też nauczył się sześciu nowszych języków. Dało mu to możność objęcia korzystnej posady korespondenta w jednym z większych domów handlowych. W roku 1846, dzięki znajomości języka rosyjskiego, wysłany został w charakterze ajenta do Petersburga, gdzie wkrótce pracować zaczął samodzielnie. Od roku 1852 powodzenie Schliemanna wzrasta ciągle, zyski z prowadzonego przezeń handlu dosięgają już nader znacznych rozmiarów. Mimo to jednak nie przestaje

---

— Czwarta minuta upływa!... — powtórzył wujcio, oka nie spuszczając z zegarka. Kwituję z sonetu, proszę o czterowiersz.

W towarzystwie panowała cisza, przerywana zaledwie dosłyszanym szeptem i ukrywanym śmiechem pań.

— Odezwijże się nareszcie! — wyrzekł do swego sąsiada rozgniewany trochę profesor. Bezustannie, jak na obraz, patrzysz się, panie Gustawie, na pannę Lolę; powiedz jej lepiej cośkolwiek; wszak lepsza sposobność nie zdarzy ci się tak prędko.

— Ja?—przerwał zawstydzony Gustaw. Cóż ja mogę powiedzieć... ja nie wiem, co mam powiedzieć...

— Ja cię ośmielę! — zawołał profesor, i uderzył nożem w talerz.

— Proszę o głos dla mego sąsiada! — przemówił głośno do całego towarzystwa.

— Słuchamy! — zawołał uradowany wujcio, a oczy wszystkich teraz dopiero zwróciły się na sam koniec stołu, przy którym siedział Gustaw z profesorem.

Mówca, tak niespodzianie przywołany do głosu, wstał z miejsca blady, drżący i wzruszony. Czuł spoczywające na sobie spojrzenia wszystkich obecnych tu osób i dojrzał szczególny jakiś uśmiech na ustach panny Loli. Mimo to zawahał się tylko chwilkę, jak gdyby zbierał myśli rozproszone, i twarzą do panny Loli zwrócony, w te odezwał się słowa:

Na marmur ramion padł śnieżek biały
I bielszym od nich się mienił;
Ale poznawszy błąd swój zuchwały,
Żałując, w łzę się zamienił!..

— Brawo! poeta!—zawołał wujcio Jan— niechże cię uścisnę, mój drogi chłopcze. Wszystkich zawstydziłeś!...

To mówiąc, żywo pobiegł do Gustawa i ucałował go w oba policzki.

— Ślicznie! — odezwały się, przyklaskując panie; a panna Lola na znak zadowolenia z uśmiechem skłoniła głowę; wszyscy zaś z zajęciem rozpytywać się poczęli, ktoby był autorem owego czterowiersza. Autora tego nikt jednak nie znał w tej sferze, więc też nikt nikogo objaśnić nie potrafił. Dopiero gdy panna Lola na zapytanie hrabiego Zyzia od niechcenia odrzekła, że to jest nauczyciel domowy jej małego braciszka, ciekawość obecnych wkrótce została zaspokojoną, lecz już nikt nie mówił o nim i nikt nie zwracał na niego uwagi. On też nie dbał o nikogo, gdyż uśmiech panny Loli starczył mu za wszystko i za wszystkich i był najwspanialszą dla niego nagrodą.

Niebawem, po skończonej wieczerzy, wszyscy zeszli się w sali balowej. Tu podawano sobie z ust do ust zdarzenie o śniegu, spadłym na obnażone ramiona panny Loli i o wygłoszonym na jej cześć czterowierszu. Lecz nikt jakoś nie umiał, czy nie chciał powtórzyć, że jego autorem był miejscowy nauczyciel najmłodszego synka Krezusowego. Zresztą, gdy wyborowa kapela zagrała wiedeński walca, w wirze szalonym tańca zapomnieli wszyscy o tem całem zdarzeniu; niezadługo zaś i ów bal, uznany za najświetniejszy w karnawale stał się tylko miłem wspomnieniem wymyśle uczestników; jeno przez czas dość długi hrabia Zyzio myślał o białych ramionach panny Loli, a panna Lola o herbowej hrabiego Zyzia koronie. (D. n.).

*El—em.*

on zajmować się nauką języków i niebawem do liczby przyswojonych już sobie dołącza polski i szwedzki.

Całej tej epoki życia słynnego dzisiaj badacza przewodnią ideą było pragnienie doszukania się zabytków po dwu sławnych narodach starożytnego świata, których czyny bohaterskie przekazały potomności pieśni Homera. Cel ten jaśniał przed nim w ciąga lat całych, poświęconych ciężkiej pracy, staraniom o chleb powszedni; z myślą o nim zwalczał on największe trudności i przeszkody, aż wreszcie ujrzał się w możności urzeczywistnienia rojeń lat młodych.

Pierwszym krokiem do tego była podróż, którą w roku 1858 przedsięwziął przez Europę do Egyptu, Syryi i Małej Azyi. Zamiarowi udania się do Aten i Italii przeszkodził proces, wzywający podróżnika do Petersburga, po ukończeniu którego (1863) Schliemann z podwojonym niemal majątkiem, przynoszącym obecnie rocznie przeszło 200,000 marek dochodu, przystąpił wreszcie bez przeszkód do urzeczywistnienia dzieła.

Odbywszy podróż naokoło świata, z której wspomnienia zawarł w dziele *La Chine et le Japon*, Schliemann osiadł (1866 r.) w Paryżu, gdzie przez dwa lata poświęcał się studyom klasycznym, poczem (1868) zaczyna badać grunt w różnych miejscowościach Itaki, Mycen i dolnej Troi. W ostatniem z tych miejsc, między Hellespontem i górą Ida, dwa główne punkty uważano za przypuszczalne siedlisko starożytnej Troi, a mianowicie: wzgórek Bali-Dagh ponad wsią Bunarbaschi i bliżej morza leżące płaskowzgórze Hissarlik. Po zbadaniu dokładnem okolic Bunarbaschi, Schliemann zwrócił się w stronę Hissarliku, gdzie już za czasów historycznych istniał nowy Ilion, i rozpoczął tamże, w roku 1871, wielkie swe poszukiwania.

Mimo znacznych środków, jakimi rozporządzał, gdyż zatrudniał 120—150 robotników, dopiero w 1872 roku, po pokonaniu licznych trudności, udało mu się zagłębić na 53 stopy pod powierzchnię wzgórza i natrafić na mury starożytnej świątyni greckiej. Nie wahając się ani chwili, rozkazał przebić mury i kopać dalej. Niebawem zaczęto dotrzegać ściany innych gruntów. Nie było już wątpliwości, że na tem właśnie miejscu leżała niedyś sławna Troja. W mniemaniu tem utwierdziło Schliemana odkrycie brukowej drogi obok muru „wielkiej wieży Ilionu.“ Droga ta doprowadziła niebawem do bramy miejskiej, a nieco dalej do największego stosunkowo gmachu przedhistorycznego miasta, o którego znaczeniu przekonały znajdywane wśród gruzów liczne przedmioty ze złota, co naprowadziło Schliemanna na myśl, iż gmach ten był „pałacem Priama,“ lub, jak go później nazwał nieco oględniej, „pałacem ostatniego władcy lub króla Troi.“ Do tego okresu odnosi również odnalezienie „skarbu Priama.“

Wśród gruzów zniszczonego przez pożar pałacu znaleziono wielki przedmiot miedziany, dziwacznych kształtów, który zwrócił na siebie baczną uwagę Schliemanna. Domyślając się, iż przedmiot ten stanowi nabytek drogocenny, oddalił pod zręcznie wymyślonym pozorem wszystkich robotników i następnie, przy pomocy małżonki swej własną ręką wydobył z ukrycia mnóstwo naczyń miedzianych, złotych i srebrnych ozdób i różnych pamiątek. Skarby te wraz z skrzynią, w której były złożone, zapadły się w gruzy podczas pożaru pałacu królewskiego, a może umyślnie zamurowane zostały. Dzięki przezorności Schliemanna, cenny ten nabytek zachowany został w całości i zabezpieczony przed tłumem chciwych złota robotników.

W roku 1884 Schliemann ujrzał się zmuszonym porzucić na pewien czas wykopalisko trojańskie. Rząd turecki wytoczył Grecyi proces, żądając połowy znalezionych w gruzach Troi skarbów. Pretensyę tę zaspokoił sam Schliemann ofiarowaniem na rzecz muzeum cesarskiego 50,000 franków. Uzyskanie nowego firmanu przedstawiło trudności, które wreszcie, dzięki rozległym swym stosunkom, Schliemann usunąć zdołał. Dopiero jednak w 1876 roku rozpoczął on wielkie swe poszukiwania w dolinie Argos, z początku w Tiryusie, następnie zaś w Mycenach, gdzie po upływie kilku miesięcy praca jego pomyślnym została uwieńczona skutkiem. W krótkich odstępach czasu odkrył pięć grobowców, których zawartość tak co do starożytności swej, jak i ilości, bogactwa i znaczenia dla sztuki przeszła o wiele najobfitszy łup, zdobyty wśród rozwalin Troi.

Następnie niezmordowany badacz postanowił przedsięwziąć poszukiwania w starożytnych miastach Itaki, ojczyzny Odyseusza. Udało mu się też na spadku góry Aetos odnaleść ruiny starożytnego miasta, ciągnącego się tarasowo aż do stóp góry.

W jesieni tegoż roku widzimy już Schliemanna na gruzach Troi. Tym razem główne poszukiwania rozpoczął w sąsiedztwie wielkiego pałacu, w którym tyle cennych nabytków znalazł był przed pięciu laty. Trzy mniejsze i jeden większy skarb, składające się z przedmiotów złotych i bronzowych, były rezultatem owych poszukiwań; dwie części przypadły w udziale, na mocy zawartego kontraktu, rządowi tureckiemu, zaś jedną trzecią część tylko zatrzymać mógł dla siebie niezmordowany badacz.

Po dłuższej przerwie, w lutym 1879 roku rozpoczął trzeci i ostatni okres badań na gruncie trojańskim. Wsparty wskazówkami Virchowa i Emila Burnoufa, który opracował dlań szczegółowe plany topograficzne owej miejscowości. Zwrócono też baczniejszą uwagę na warstwy ziemi, w śród których znajdywano zabytki starożytne, i wogóle poszukiwania miały bardziej naukowy charakter. Mimo wszakże, iż znaleziono mniej drogocennych przedmiotów, dla nauki badania te mają daleko większe, niż poprzednie, znaczenie. Rezultaty ich pomieścił Schliemann w dziele pod tyt. *Ilios*, znanem już czytelnikom *Prawdy*. Działalność skrzętnego badacza nie uległa jednak tutaj dłuższej przerwie. Odkrył on ciekawe wykopalisko w mieście starożytnej Beocyi, Orchomenos, i odbył ważną dla nauki podróż przez krainę trojan, aż do wierzchoła Idy.

Obecnie zajmuje się Schliemann osobiście uporządkowaniem w berlińskiem Muzeum Przemysłu i Sztuki ofiarowanych państwu niemieckiemu przedmiotów, pochodzących z wykopaliska trojańskiego, które poprzednio wystawione były w Muzeum królewskiem w Londynie. Naturalnie, po skończeniu tej pracy zamyśla o nowej wyprawie.

*J. W.*

## JERZY BRANDES

SZKIC LITERACKI.

### III.

Dwa cele ma przed sobą Brandes, jasno i dobitnie wytknięte, dwa działy, które swoją reformatorską działalnością ogarnia: polityczny i filozoficzny.

W polityce należy on do tych prawych i rozumnych patryotów, którzy mają oczy na wszystko otwarte, a głównie na wady i ułomności swego narodu. Nie umie dopatrywać się nieistniejących cnót w przeszłości, ani schlebiać teraźniejszości, lecz tylko w sprawiedliwej ocenie faktów i działań minionych i współczesnych widzi rękojmię doskonalenia się społeczeństwa. Nic w pojęciu jego tyle nie szkodzi i nie wstrzymuje tak rozwoju, jak przecenianie się, a duńczycy więcej może niż inny naród są skłonni do szowinizmu. Wiedział już o tem niegdyś Oersted, jeden z najlepiej myślących i kraj swój znających ludzi, gdy mówił jeszcze w pierwszej połowie naszego stulecia: „Obudzenie w narodzie przekonania o jego wewnętrznej wartości jest bardzo korzystne; my jednakże musimy się bacznie wystrzegać tej źle zrozumianej miłości ojczyzny, która nas i nasze sprawy wynosi nad wszystko, co się na świecie znajduje. Dobro narodu przez to nie wzrasta, że on sobie przypisuje największą sumę urojonych przymiotów i zasług — a im więcej ich zaznacza, tem pewniej są urojone. Blask, którym przeszłość naszą zdobimy, posługuje wyśmienicie wyobraźni do tworzenia szumnych frazesów, ale działa osłabiająco i przytępiająco na prawdziwy i żywy duch narodowy.“ Zamkniętą w sobie politykę Danii i ten skandynawizm, oparty na wysokiem o sobie mniemaniu, Brandes pragnie ożywiać stałym stosunkiem z niemcami i innymi narodami ucywilizowanymi, upatrując dobro kraju w stałem doprowadzaniu z zewnątrz ciągle nowych i świeżych prądów, które zmięszane dopiero z miejscowymi i pierwotnymi materyałami przyczynić się mogą do ogólnego duchowego i obyczajowego rozwoju.

Partya narodowych liberałów, dzierżąca w rękach rządy i utrzymująca kraj w umyślnej i tyrańskiej ciemnocie, posiada w Brandesie zaciętego przeciwnika. Należy on duszą całą do lewicy, mianującej się w Danii partyą chłopską i będącej już obecnie na najlepszej drodze do zdobycia sobie większości. Konstytucya duńska, oparta na bardzo szerokich demokratycznych podstawach, przypuściła chłopów do głosowania; dziś stronnictwo to, trzymające się w sejmie radykalnej opozycyi, wzrasta w potęgę i staje się bardzo groźne na polu polityki agitatorskiej.

Niemałą jest zasługą Brandesa, że prawie całą inteligentną młodzież w kraju zjednał dla tak zwanej połączonej lewicy, szczycącej się obecnie pozyskaniem grundtvigianów. Może kiedyś partya ta, dziś jeszcze pogrążona w głębokiej ortodoksyi, ale politycznie wolnomyślna i oficyalnemu kościołowi wroga, stanie się formą przejściową do nowych idej swobody i prawdy.

Najsilniej i najwybitniej zarysowała się indywidualność Brandesa na polu filozofii i estetyki społecznej. W polityce zastał już gotowe stronnictwo, wybór nie był trudny, tutaj zaś, trzeba było subjektywnym stęplem cechować poglądy na stosunki społeczne, trzeba było szukać, szperać i rozbierać, temperament silniej się akcentował, kierunek filozoficzny musiał zyskiwać grunt stały, pisarz stawał się artystą, historykiem, psychologiem, demagog—krytykiem.

Że krytycyzm miał w Danii racyę bytu i stosowne do rozwoju pole, dowód mamy najlepszy na kilku bardzo poważnych krytycznych talentach, jak np. Oersted, Hauch, dzielny profesor estetyki na uniwersytecie, wreszcie S. Z. Heiberg, którego A. Strodtmann, doskonały znawca życia umysłowego na północy, nazywa duchowym i estetycznym wychowawcą swego narodu w XIX wieku. Pisarze ci zarówno w polemice jak w krytyce trzymali się poważnego naukowego stanowiska i prawideł wyższej estetyki (Heiberg nawet był apostołem Hegla w Kopenhadze); pomimo to jednak nie byli oni jeszcze wolni od przesądów i pewnego formalizmu, nie ośmielali się poruszać zagadnień, dotyczących bytu społeczeństw, a jedyną może i główną ich zasługą jest utorowanie drogi śmielszym i trzeźwiejszym pracownikom. Jerzy Brandes dopiero, stanąwszy na gruncie pozytywnym, zbudował krytyce nowy ołtarz, uwolnił ją od konwencyonalizmu i żywem, gorącem słowem szczepił na starym, zbutwiałym już prawie pniu duńskiej litera-

tury płonki świeżych myśli i nowych ideałów.

Początki namiętnej jego działalności przypadają właśnie na chwilę, gdy wrzała w piśmiennictwie walka o stosunek wiary do nauki, prowadzona z jednej strony przez teologów (takich jak Nielsen, Martensen) a z drugiej przez młode zupełnie siły, występujące (jak np. Heegaard i Lavsen) w obronie niezależności naukowych badań i tolerancyi religijnej. Brandes rzucił się z zapałem w odmęt polemiki, chwycił za pióro przeciwko dualistycznym zasadom Nielsena, wciągnął za sobą na pole walki nauczyciela swego Bröchnera i założył w duchu młodego pokolenia nowe czasopismo *Wiek XIX*. Ciężką i duszną atmosferę, w której Dania zamierała, trzeba było odświeżyć prądami postępu z zagranicy idącymi; Brandes przyłożył rękę i do tego dzieła, przyswajając ojczystemu piśmiennictwu ostatnie wyniki poważnej wiedzy. W rozprawie *O współczesnej estetyce francuskiej* zapoznał kraj z pismami i teoryami Henryka Taine, a tłomacząc Stuarta Milla *Poddaństwo kobiet* i *Utylitaryzm* wprowadził do błądzącej po manowcach filozofii północnej zasady francusko-angielskiego pozytywizmu.

Wszędzie, gdzie była sposobność do oddania sprawiedliwości rzeczywistej zasłudze, do podniesienia jakiegoś talentu, do określenia stanowiska jakiejś wybitnej w społeczeństwie osobistości, do ujęcia się za zagrożonemi humanitarnemi ideami postępu, widzimy Brandesa czynnym i wymownym obrońcą prawdy, tak jak z innej znowu strony trudno spotkać pisarza, któryby się równie mało hamował w wybuchach namiętnego gniewu, oburzenia i nienawiści dla wszystkiego, co płaskie, fałszywe i wsteczne, co uparcie się trzyma ścieżek utartych i starego porządku, stawiając bezmyślnie czoło prawom postępu. Umysł niespokojny, ale celu swego świadomy, należy on do tych śmiałych i wpływowych myślicieli, którzy potrafią w jednostkach rozbudzać wątpliwości i niepokoje wewnętrzne, a wstrząsając masami uśpionemi wiekowem drzemaniem wywoływać umieją w ich łonie gorące starcia, walkę żywiołów, całkowite przeobrażenia i przemiany ustaw i pojęć, tradycyą i zwyczajem ustalonych. Ludzie takich czynów i celów iść muszą przebojem i nieraz pracą krwawą zdobywać sobie prawo wolnego badania, a potrzeba im tytanicznej nieraz siły i poświęcenia krwi swej najlepszej, aby zburzyć to wszystko, co się już przeżyło, a na gruzach i ruinach stawiać podwaliny nowych systematów i prawd społecznych, czerpiących swą siłę w niewzruszonych prawach natury.

Posłuchajmy, co mówi Brandes: „Społeczeństwo jest zbiorem praw, zwyczajów, zapatrywań i przypuszczeń najróżnorodniejszego pochodzenia; niektóre z nich są naturalne, albo tylko możliwe, inne zupełnie nieprawdopodobne, jedne świeże i nowe, inne przestarzałe, a wszystkie bez wyjątku, już to z powodu ułomnej natury ludzkiej, już z powodu głupoty większości, opierają się na niedostatecznej lub fałszywej znajomości człowieka... Najważniejszą wadę praw społecznych stanowi to, że są ogólne, to jest jednakowe dla wszystkich; każda jednostka, bez względu na swe usposobienie, musi podlegać ich tyrańskiej potędze...

Każdy znajduje zaraz przy urodzeniu gotową religię, w każdym kraju inną, którą mu rodzice, nim jeszcze sam czuć i myśleć umie, narzucają... Następnie znajduje gotową moralność z przychodzącą jej w pomoc opinią publiczną... To też każde najmniejsze usiłowanie do samoistnej myśli w dziedzinie religii i moralności bywa w zarodku tłumione, a jeżeli człowiek go w sobie nie zdławi, biada mu! rzucił rękawicę społeczeństwu...“

Na progu nowej ery, zapowiadającej nam wiek odrodzenia, panowanie nauki i prawdy, witamy z zapałem dzielnych i śmiałych szermierzy myśli, biorących ciężką walkę ze społeczeństwem na swoje barki. Są oni jakby powołani i namaszczeni do tego, aby nieść przed oczyma tłumów pochodnie jarzącego światła, podobni do owych słupów ognistych, wiodących kiedyś w dalekiej przeszłości lud tułaczy po bezdrożach pustyni. Dziś, tak jak w legendzie, celem i dążeniem jest ziemia obiecana, kraj wolności, miłości i pracy, gdzieby ludzkość po długich latach poddaństwa mogła nareszcie w pełni praw swych używać, żadnemi pętami ciemnoty, zwietrzałych przekonań i mchem porosłych ustaw niezwiązana.

„Jakby to było prostem — mówi Brandes — gdyby człowiek sam sobie tworzył normę postępowania i wedle możności sam własną myślą prawdy dociekał.“ Podług niego „każdy powinien się starać, by własną myślą stworzyć sobie oryginalne, własne, osobiste o wszystkiem pojęcie, bez względu na to, co się obok dzieje, bez względu na urzędowe powagi i patentowanych posiadaczy gotowych już prawd.... Można powtarzać za kim słowo w słowo wyrazy, ale nie można myśleć mózgiem innych, jak nie można się nasycić tem, co inni jedzą...“

Brandes działalnością swoją w literaturze najlepszy nam daje przykład, co człowiek sam zrobić może, gdy go ożywia duch samodzielnej krytyki i wiara, że w wielkiem dziele odrodzenia i rozwoju ludzkości praca jednostki stała, z głębokiego przekonania płynąca, nieociągająca się przed żadną ofiarą, musi potęgą swoją wewnętrzną rozsadzać najtwardsze opoki i rozbijać najbardziej zakorzenione przesądy. Pełne głębokiego znaczenia określenie Kierkegaarda, które znajdujemy w studyum jego o tym potężnym myślicielu, najlepiej do niego samego daje się zastosować: „Czoło Kierkegaarda cierpiało bezustannie na pewne dziwne rozdrażnienie i swędzenia, o których inne czoła nawet nie mają wyobrażenia: był to silny popęd do uderzenia głową o ścianę, z tem niezachwianem przekonaniem, że nie czoło na tem ucierpi, ale ściana zniszczeniu ulegnie.“ Czyż te słowa nie są wiernym obrazem jego niestrudzonej energii, jego siły nigdy się niezużywającej, jego optymizmu nareszcie, stanowiącego jedną z wybitnych cech tego potężnego talentu — optymizmu, utrzymującego w nim niczem niezachwianą ufność, że ideą wolności, bądź co bądź, drogę sobie w świecie utoruje, i jak świetna tęcza, nosząca na sobie znamiona harmonii, pokoju i swobody, wśród chmur szarych i mgły jesiennej zwycięsko zabłyśnie.

Nie będzie to przesadą, jeżeli powiemy, że Brandes należy do tej garstki wybranych i szczęśliwych pracowników, którzy, gdy sobie cel jakiś postawią, gdy raz przystąpią do zbudowania czegoś, już nie odejdą, póki nie zwyciężą; każdy czyn ich, każde odezwanie się jest cegiełką, wzmacniającą podwaliny mającego się wznieść gmachu; głos ich nawet nie przechodzi cichym szeptem, ale rozlega się potężnem brzmieniem i śpiących budzi, bezczynnych nawołuje, a niewiernych ufnością i nadzieją przenika.

W roku 1871 głos ten zabrzmiał z katedry uniwersyteckiej w Kopenhadze niesłyszaną do tej pory siłą i energią; wykłady, przyjęte naprzód z ciekawością a następnie z ogólnem oburzeniem, ukazały się w książce pod tytułem: *Główne prądy literatury XIX wieku*, wywołując zarówno w publiczności jak w prasie całą burzę zaciętych oskarżeń, napaści i nienawistnych zarzutów. Obwiniano autora o krańcową wolnomyślność, o nieposzanowanie tradycyi krajowej, o ateizm, posądzano go o brak patryotyzmu, a nawet wytykano rozszerzanie pojęć socyalistycznych, wszystko dla tego głównie, że praca jego nie poprzestając jedynie na literackich wywodach i krytyce, poruszała mnóstwo zagadnień religijnych, społecznych i moralnych, że wstrząsała posadami wielu gmachów starego porządku, których omszałe mury gwałtem domagały się odświeżenia; że zwracała uwagę na obce cywilizacye i na wpływ ich radziła więcej baczyć.

Celem i ideą przewodnią dzieła jest odmalowanie ruchu literackiego w bieżącem stuleciu, ze szczególnym naciskiem na reakcyę, historyę jej rozwoju, szybkiego wzrostu i rozkwitu, a następnie na walkę jej ze zwycięzkim duchem wolnomyślnym XVIII-go wieku. Śmiałym i pewnym rzutem kreśli autor plan dziejowego przebiegu literatury, dzieląc ją na sześć odrębnych grup, z których każdą scharakteryzował ze ścisłością i subtelną analizą uczonego i z wytwornym smakiem artysty. Pierwsza grupa przedstawia literaturę francuską, której ojcem jest Rousseau, i gdzie budząca się reakcya jeszcze ulega bardzo prądom rewolucyi; druga—to katolicko-romantyczna szkoła niemieckich poetów, trzecia jest obrazem reakcyi tryumfującej i doszłej do zenitu potęgi w dziełach takich pisarzy, jak de Maistre, Lamennais w pierwszej epoce swojej i Lamartine. Byron tworzy czwartą grupę, dając pieśnią swoją i bohaterską śmiercią za ideę wolności nowy kierunek umysłom i piśmiennictwu. Wpływ jego szkoły i ziarno wolnej myśli przez autora *Don Juana* zasiane, wschodzi bujnym kwiatem na niwie francuskiej, gdzie Wiktor Hugo i Musset tworzą szkołę romantyczną i zarazem piątą grupę literacką. Szósta nareszcie jest dalszym ciągiem rozwijających się pojęć liberalnych w Niemczech, których przedstawicielami są Heine, Börne i inni.

Na tem sześciopiętrowem rusztowaniu wznosi się gmach wspaniały o poważnej architekturze i szlachetnym rysunku, barwną i kwiecistą mozaiką świetnego stylu przybrany, a zdobią go albo posągi półbogów poezyi i mistrzów nauki z marmuru wykute, w które artysta wlać umiał wszystkie źródła życia duchowego i twórczego natchnienia, albo też bogate kamee, gdzie profile ludzi gieniuszu i poważnej myśli rysują się w szlachetnym i kosztownym materyale w liniach pełnych artyzmu i prawdy.

Nie będziemy szerzej dzieła tego rozbierali; jest ono do tej pory niewykończone i dwie ostatnie grupy czekają na obrobienie; czytelnicy *Prawdy* poznają je najlepiej i ocenią z tłómaczenia ukazującego się w dodatku do niniejszego pisma. Dodać tylko winniśmy, że choć traktuje ono przeważnie o literaturach obcych, myśl jednak przewodnia autora kieruje się zawsze ku Danii, a serdecznie patryotyczne uczucie przejawia się w pragnieniu, aby piśmiennictwo ojczyste mogło na wzór obcych wejść szybko na drogę racyonalnego rozwoju i prawdziwego rozkwitu. Jedyną radą na to, jedyną pracą, którą dobrze myślące młodsze pokolenie zadać sobie powinno, jest: „wprowadzenie do kraju wszelkiemi możliwemi drogami tych prądów, które źródło swoje mają w idei postępu i powstrzymanie reakcyi na tych wszystkich punktach, gdzie jej rola i zadanie już historycznie są skończone.“ (D. n.)

*Jadwiga Krausharowa.*

---

## JASEŁKA KRAKOWSKIE.

*Październik.*

Ustąpienie p. Moraczewskiego. — Zaloty o wygrzane przez niego miejsce. — P. Niedziałkowski zwycięzcą.— Upominek na drogę. — Protest siedmiuset. — Krzyk p. Koźmiana o nowy teatr. — Zbytek wobec nędzy. — O jakim teatrze myśleć należy. — Tramwaje w Krakowie.

Kraków spoczywa obecnie w niemej kontemplacyi, tak iż klasztorną ciszę jego

przerwały zaledwie wyścigi, urządzone przez naszych bobrów na wieść, że p. Moraczewski opuścił urząd dyrektora budownictwa miejskiego. Blizko trzydzieści świeżo odprasowanych fraków obiegało od rana do nocy wszystkich pp. radnych, podstawiając sobie wzajem nogi, łamiąc się w pałąk przed protektorami, a finał tego *sportu* dość wesoły... Opinia powszechna była za p. Zarębą, człowiekiem bezwarunkowo najdzolniejszym z całej litanii jowialnych poczęści kandydatów, i — podobno— najodpowiedniejszym na tak ważny dla nas urząd; ale ciemne nurty Rady miejskiej wyrzuciły nam całkiem inną rybę — p. Niedziałkowskiego. Zresztą p. N., autor własnego *życiorysu*, którym przy pomocy czapki i papki spętał swawolne stado rajców miejskich, nie jest bez zasług. Bo któż to, jeśli nie on, puszcza corocznie wianki na Wiśle i któż to monarsze „pokazywał“ w Sukiennicach „prawdziwe“ wesele krakowskie?

Również i p. Moraczewski na laurach swoich, których jednak pod utratą życia nie radziłbym nikomu szukać w tutejszych budynkach, szczególniej szkolnych — wyszedł bardzo dobrze. Nie dość bowiem, że za niefortunne trudy swoje pobierał pensyi 3,000 złr., zamiast należnych 2,100 złr., i „przydzielano“ mu sute w wal. austr. roczne *mikołajki* [1]); jeszcze teraz, gdy przenosi się do Lwowa na lepszą posadę przy namiestnictwie, komisya tutejsza uporządkowania miasta przesłała wniosek do rady miejskiej o wypłacenie mu trzech tysięcy złr., tytułem gratyfikacyi a raczej upominku na drogę! Pojawienie się czegoś podobnego, podczas gdy miasto znajduje się w najokropniejszych kłopotach, o czem szczegółowo pomówimy niżej, jest dowodem wielkiego rozbrykania się komisyi. Rozrzutna ta gospodyni, wypróżniająca lamus miejski dla swych faworytów, powinna pamiętać o tem, że grosz publiczny świętszym jest, niż cudowna woda z Lourdes, której Jezuitom nigdy nie zbraknie. Ale co tu mówić!... Protekcya u nas — to wszechwładne bóstwo, główny motor naszego życia, to... pytel sypiący do worków zamiast mąki — otręby i plewę! A wierzcie, słowa te nie dyktuje mi maniactwo pesymistyczne, lecz najzwyklejsza obserwacya faktów i sumienne rozróżnianie ich wartości. Nie sam myślę podobnie, ale każdy, kto jeszcze nie utracił wzroku. Weźcie do ręki np. memoryał krakowskich i lwowskich techników w sprawie odbudowania Wawelu! *Veto* siedmiuset ludzi, założone przeciw wszelkiej prywacie, względom i względzikom naszych mandarynów — to już manifestacya zbyt wyraźna, zbyt określająca stosunki nasze, aby można nią podpalić w piecu!...

— Gwałtu! krzyknął p. Koźmian przez tubę swojego *Czasu*. Teatr krakowski, który tak świetnie prowadzę, mieści się w budynku starym i odrapanym! O hańbo! tu, na wolnym gruncie, tu, w polskich Atenach, teatr mój, który powinien być posłannikiem sztuki na kraj cały i... lepiej mi procentować, znajduje się w takim opuszczeniu! Bierzcie więc guldenów, skąd chcecie, ale postawcie mi nowy gmach; a ja powiadam wam, że jako Zyblikiewicz za Sukiennice został marszałkiem, tak Weigel za teatr zostanie nawet — hrabią!

Jakoż p. Weigel, który od jakiegoś czasu trzęsie się febrycznie ku stańczykom, zawnioskował w Radzie miejskiej, że nowy teatr w Krakowie jest konieczny, i mimo silnej opozycyi, zrobił co chciał, oświadczając w końcu, że jeśli projekt jego nie uzyska sankcyi, to on starą świątynię Melpomeny, grożącą zawaleniem się, każe zamknąć. Skoro jednak życzeniu p. prezydenta stało się zadość, zezwolił łaskawie na zgruchotanie żeber naszych!

[1]) Wyraz miejscowy, oznaczający podarunki rozdawane tutaj w dzień św. Mikołaja.

Choćby p. burmistrz wziął do serca owe myśli o posłannictwie narodowem, powinien był pamiętać o tem, że nie zależy ono od nowych murów, lecz od repertuaru i gry artystów. Dopóki biblioteka muzy krakowskiej składać się będzie z bezwartościowych rupieci, a artyści z takich histryonów, iż — z bardzo małym wyjątkiem — nawet król Jeje z Borneo z przyjemnością kazałby ich wszystkich... rozpędzić, o żadnem kapłaństwie nie może być mowy.

Zresztą budowa nowego alkierza dla Melpomeny krakowskiej, którego kosztorys 400,000 złr. — oby tylko nie zajechał na dwa razy tyle, jak to miało miejsce przy wiekopomnej restauracyi Sukiennic — dziś, przy obecnym stanie finansów naszych, jest wybrykiem nie do darowania, jest dolewaniem oliwy do ognia. Na nowy gmach złożyć się mają rząd, sejm i miasto — ono naturalnie zaciągając pożyczkę, jakkolwiek stan kasy miejskiej jest już i tak zachwycający! Prócz bowiem 50,000 złr. deficytu, mamy na karku półtora milionową pożyczkę, zaciągniętą niegdyś na wodociągi, a strwonioną już dawno na Sukiennice i t. p., od której opłacamy rocznie 65,000 złr.; obecnie zaś przybywają nam jeszcze trzy: na wodociągi, na urządzenie zakładu gazowego na teatr; od czego znów przyjdzie opłacać rocznie bajońskie sumy, podczas gdy rząd podniósłszy nam dzierżawę akcyzy z 200,000 złr. na 210,000 złr. zmniejszył dochody roczne o 10,000 złr.!

Tak więc, jak na dziś, nowy gmach teatru winien poczekać w tece projektów. Pan prezydent zamiast bawić się w Zyblikiewicza, niech oczyści kasę miejską z długów; pomnąc zaś na tutejszą nędzę, niech wzniesie upadłe rękodzieła, handel i przemysł; wreszcie, dbając o sanitarny stan miasta, niech przedewszystkiem odtrąci nam od ust błoto, które dotąd ku niezmiernej radości grabarzy pijemy zamiast wody, tak iż Kraków pod względem śmiertelności jest jedną z europejskich stolic.

Bardzo rozumnie i wcale bezprzesadnie odezwał się w tej sprawie tutejszy *Dyabeł*. Słowa jego zamiast pacierza powinien p. Weigel odmawiać kilka razy na dzień. „Nam nie wolno — woła wspomniane pismo — budować teatrów wobec straszliwej nędzy, wobec okrutnych potrzeb, których obraz zgrozą przejmuje. Ludzie porządni a ubodzy, niemający czem opłacić mieszkania, ani rodzin wyżywić, zubożeli rzemieślnicy potrzebujący zapomogi, nędzarze, w rozpaczy wódką zastępujący chleb powszedni, półnagie dzieci wśród zimy żebrzące po ulicach — oto teatr w rzeczywistości, którego potrzebom powinniśmy przychodzić w pomoc.“

Ilekroć myślę o konserwatystach, przychodzi mi na myśl król Kalakuy i jego państewko, którego wcale zajmujący obrazek podały niedawno pisma zagraniczne. Rzecz się tak miała: Podczas ostatniej nieobecności dostojnego monarchy, ministeryum Hawai złożone z ludzi liberalnych, wniosło do parlamentu projekt, aby armii wielkiego państwa sprawić... koszule i spodnie, których dotąd nie używa. Wniosek ten wywołał najwyższe oburzenie wśród zachowawców. Między innymi jeden z nich powstał i ozwał się w te słowa:

— Niepodobna przewidzieć następstw, jakie pociągnąć może za sobą danie armii pantalonów; doświadczenie wieków uczy nas, że nigdy naród nie wychodzi dobrze na zmianie tradycyi. Ojcowie nasi nie nosili ani koszul, ani spodni, a jednak byli żołnierzami!

Coś podobnego działo się i u nas, jakkolwiek Kraków leży w Europie i graniczy z Krowodzą. Mianowicie przez pustynię naszą pewni poczciwi ludzie postanowili przeprowadzić tramwaje, jako nader dogodną komunikacyę między tak oddalonymi punktami, jak Podgórz a dworzec kolejowy. I wszystko szło jak z płatka... W tem ze stańczykowskiej nory ozwał się straszliwy ryk... *Czas* krzyknął, że poprzerzynają one paskudnemi szynami poważne, zdziwione i *obrażone* (!) ulice grodu Piastów i Jagiellonów!

No, jeśli taki *Kaliszanin*, któremu przyświeca gwiazda p. Ludwika Niemojewskiego; jeśli taki *Kaliszanin* — powtarzam — posiadający nadto specyalnego korespondenta z Ozorkowa — nie padł trupem na wieść o tramwajach w obszarze swego apostolstwa: cóż w takim razie myśleć o nas i o *Czasie*?

*Prawdzic.*

---

# LIBERUM VETO.

Chyba pomyłka co do kościoła, w którym dzwonią. — Egzamina państwowe. — Co jest, czego nie ma i co prawdopodobnie będzie. — Projekt ustawy leśnej. — Projekt zmniejszenia świąt. — Brak dni do pracy. — Kasa imienia Mianowskiego. — Dziś i dawniej w Tow. Muzycznem. — Niepłatne kupony akcyj warszawskiej Polihymnii. — P. Noskowski z wędką. — Nawa teatralna śród burzy. — Hektor i Achilles. — Odkrycia naszych pism w dziedzinie geografii krajowej. — *Tramwaj* ubył, *fluid* przybył.

Przetrzyjmy oczy dla przekonania się, że nas wzrok nie myli, i czytajmy:

„Dzienniki moskiewskie podają ważną wiadomość, iż w Rosyi wprowadzone być mają egzamina państwowe na wzór tych, jakie w Austryi i Prusach składać muszą wszyscy wstępujący do służby rządowej. Wspomnione dzienniki utrzymują nawet, że sprawa ta w zasadzie już jest rozstrzygnięta. Co się zaś tyczy sposobu składania owych egzaminów, mają one być dwojakie: ogólne i specyalne — pierwsze składane będą przy opuszczaniu uniwersytetu po ukończeniu kursów, specyalne zaś przy obejmowaniu niektórych posad i urzędów. Przy ogólnym egzaminie, mającym się zdawać jednocześnie z ukończeniem kursu uniwersyteckiego, asystować mają delegowani ze strony rządu.“

Gdym przeczytał tę wiadomość w pismach naszych, zdawało mi się, że ktoś nagle doniósł, iż powstał projekt dodania wszystkim bryłom trzeciego wymiaru. Dotychczas bowiem sądziłem, że w Rosyi nie istnieją w wyższych zakładach inne egzamina prócz państwowych, aż tu nagle prasa zapowiada, że wymiar ten ma być im dopiero dodany. Czy przypadkiem dziennikarze, nasłuchujący odgłosu obrad szkolnych, nie pomylili się co do kościoła, w którym zadzwoniono? Jak wiadomo w Niemczech i Austryi istnieją dwa rodzaje uniwersyteckich egzaminów: jedne dla otrzymania stopni naukowych, pozostawiające kandydatom zupełną swobodę wyboru przedmiotów oraz profesorów, i państwowe dla otrzymania praw służby publicznej, przepisujące ściśle, co kandydat ma umieć i przed kim dowody swego ukształcenia złożyć. Systemat rosyjski wcale nie zna pierwszych. Każdy też, kto skończył wydział medyczny, może być lekarzem, kto skończył prawny — sądownikiem, filologiczny lub matematyczny —nauczycielem. Niewolno nikomu (jak w Niemczech) ze świadectwem gimnazyalnem i rozprawą stanąć do egzaminu doktorskiego, lecz musi przejść uniwersytet, zdobyć stopień kandydata, a następnie magistra. Powyższą więc zagadkę rozwiązują jedynie dwie możliwości: albo ministeryum oświaty zamierza wprowadzić nie egzamina państwowe, bo te istnieją, ale naukowe, których niema; albo też pragnie służbę publiczną uczynić zależną od egzaminów państwowych. Po-

mijając administracyę, która, jak wiadomo, nie potrzebuje posiadać żadnych kwalifikacyi naukowych, są bardzo liczni sądownicy, nauczyciele, przewodnicy zakładów specyalnych, którzy nawet nie widzieli uniwersytetu. Przypuszczamy więc, że do pełnienia tych obowiązków upoważniać będą egzamina państwowe — co byłoby reformą wielce pożądaną. W każdym zaś razie doniesienie, że przy egzaminach uniwersyteckich mają być obecni „delegowani ze strony rządu“ jest śmiesznem, bo z czyjejże strony delegowanymi są profesorowie przez ministra mianowani?

Nie próbuję dalej oświecać tego ciemnego kąta gazet rosyjskich, w którym wylęgła się owa wiadomość, bo wszystkim wiadomo, do jakich pomysłów zdolny jest dziennikarski Ugolino, gdy mu brak nowin głodem dokuczy. Wolę natomiast podzielić się z czytelnikami innem doniesieniem, które wiarogodnością się nie brzydzi. Przed kilku laty na zjeździe leśnym w Warszawie urodził się projekt ustawy, zabezpieczającej troskliwie dotąd niszczone lasy w Królestwie Polskiem. Projekt ten przesłany został Towarzystwu Leśnemu w Petersburgu, które właśnie powierzyło go na ostatniej sesyi (22 b. m.) rozpatrzeniu dwu członków. Naturalnie, jest to ciągle *vana ira sine viribus* i niejedna jeszcze sosna padnie pod siekierą grabieży lub marnotrawstwa, zanim nad lasami naszymi roztoczy się skrzydło skutecznej opieki. Ale my tak przyzwyczailiśmy się poprzestawać na małem, że i to drobne posunięcie sprawy nas cieszy. Przynajmniej znowu będziemy włazić na wysokie drzewa i wyglądać, czy z Petersburga pomoc dla ginących lasów nie nadchodzi. A na ten użytek wysokich drzew jeszcze nam wystarczy.

Letnie rozleniwienie już prasę opuściło, jesienne chłody pobudzają do literackiej płodności, mamy więc do zanotowania jeszcze projekt nr. 3. Mianowicie *Poriadok* petersburski radzi biegłym, obradującym nad zmniejszeniem pijaństwa, ażeby zmniejszyli ilość świąt, jak wiadomo sprzyjających temu nałogowi. Nie jestem biegły w teologii Cesarstwa, nie wiem przeto, czy ona dozwala zgromadzeniu cywilnemu oznaczać liczbę świąt; myśl sama wszakże bardzo mi się podoba i żałuję mocno, że ona nie może być na tej drodze u nas urzeczywistniona. Bo naprzód słusznie dowodzi *Poriadok*. „Prawie połowa dni w roku jest świątecznych; w skutek tego potrzeba dla wykonania pewnej rocznej roboty dwa razy tyle robotników co w Niemczech, a nawet w katolickiej Francyi. Prócz tego, jak już wyżej wspomniano, dni świąteczne są spędzane w szynkach i szynkownymi zwać się mogą. Zmniejszenie liczby dni świątecznych powiększyłoby zarobek roczny pracowników, a więc i polepszyło ich dobrobyt. Rozumiemy dobrze, że kwestya ta związana jest z finansami duchowieństwa, ale przecież i zmniejszenie ilości szynków zmniejszy dochód skarbu, a mimo to rząd nie waha się zastosować tego środka dla usunięcia demoralizującego ich wpływu.“ Uwagi te dają się w zupełności zastosować do naszych potrzeb. Kiedyś zadałem sobie trud policzenia ogólnych i szczególnych świąt, w Warszawie obchodzonych; rezultat przekonał mnie, że niema ani jednego dnia w roku wolnego od jakiejś uroczystości a na niektóre przypada kilka. Jeżeli więc prawowierny katolik warszawski chce zadość uczynić wszystkim obowiązkom pobożności, nie znajdzie ani jednego dnia na pracę. Jeżeli przy tem dodam, że, zwłaszcza na wsi, nie spotkałem nigdy włościanina lub włościanki pijanych w dni nieświąteczne i niejarmarczne, to zyskam zgodę czytelnika, że i u nas ograniczenie liczby świąt przydałoby się — ze względów ekonomicznych.

Od miliona projektów w roku zeszłym wnoszonych wypadł nam jeden urzeczywistniony. Dobry i taki procent, jeśli on daje społeczeństwu tak pożyteczną instytucyę, jak kasa imienia Mianowskiego, która — jak wspomniałem już dawniej — ustanowiła swój zarząd i dostała od członków założycieli posag a teraz zaleca się do miłosiernych obywateli kraju, ażeby pamiętali o jej potrzebach. Szkatułkę jej zasilać mogą w trojakiej roli: a) jako członkowie założyciele honorowi (100 rs. jednorazowo); b) jako rzeczywiści (5 rs. rocznie) i c) jako wspaniałomyślni ofiarodawcy. Kasa ma na celu: udzielanie zapomóg pieniężnych jednorazowych lub peryodycznych oraz pożyczek osobom pracującym na polu naukowem lub już poprzednio znanym w tej dziedzinie z prac swoich. O pomoc do kasy zwracać się należy pod adresem jej prezesa, czcigodnego d-ra T. Chałubińskiego (Mokotowska 8), lub sekretarza K. Dobrskiego (Marszałkowska 50). Wkłady przyjmuje tymczasowo biuro wice-prezesa, S. Kronenberga. Donosząc społeczeństwu o dojrzeniu tej jego pięknej córeczki, winienem zaznaczyć w jej metryce, że urodzili ją wychowańcy b. Szkoły Głównej, ale uczciwie i troskliwie wychowali pp. dr. Stanisław Kronenberg i dr. Jakób Natanson. Należy im się też za nią szczera wdzięczność.

Wychowaniem, a raczej odżywieniem innej zagłodzonej instytucyi, zajął się jej dyrektor p. Z. Noskowski. Jak wiadomo, niedaleko po za nami są czasy, kiedy członkiem Tow. Muzycznego musiał być każdy przyzwoity warszawianin, kiedy nieposiadających tego zaszczytnego tytułu nie wpuszczano do salonów i nie witano na ulicy. Nawet kandydaci do posad na kolejach, dla opatrzenia swych próśb dobrą rekomendacyą, zapisywali się do Tow. Muzycznego. Od tej błogiej chwili zebrało się wprawdzie na tym liście zastawnym Polihymnii kuponów około 800, ale płatnych zaledwie 400. Obojętność doszła do tego, że nawet niezwyciężeni burzyciele gabinetów Towarzystwa, który jego dzieje okrwawili trupami tylu dyrektorów, przestali przychodzić na ogólne zebrania. Ledwo kilkudziesięciu wiernych stawiło się do apelu, a między nimi ani jeden, któryby bodaj pozornie chciał obalić obecne ministeryum. Dzięki brakowi opozycyi, p. Noskowski zaofiarował Towarzystwu bezpłatnie swoją orkiestrę a jego członkom bilety wolnego wejścia na koncerty w Dolinie Szwajcarskiej, zastrzegłszy sobie wynagrodzenie za orkiestrę, gdyby liczba uczestników (naturalnie płatnych) wzrosła do 1,200. Czy od tej wędki nie odciągnie ryb jakaś nowa modniejsza przynęta, — towarzystwo łyżwiarskie, lub łodziowe, czy członkowie Tow. Muzycznego, zamiast słuchać koncertów, nie zaczną namiętnie ślizgać się lub pływać — jako słaby jasnowidz w przemianach mody wywróżyć nie mogę.

Nie umiem również powiedzieć, co się stanie ze świątynią drugiej muzy — Melpomeny. Zbyt wiele augurów stara się u niej o urząd Kalchasa, ażeby prawda zdołała przebić się przez ich plotki. Według jednych dotychczasowa zapomoga ma być teatrom powrócona, według drugich przepołowiona z jednorazowem wynagrodzeniem za przerwę w widowiskach podczas żałoby, według innych monopol teatralny zostanie zniesiony, a urzędowa Melpomena pójdzie na licytacyę. Tymczasem, jak głosi czujny kontroler z *Gazety Warszawskiej*, do pustej kasy teatralnej dyrekcya przystawia coraz nowe pijawki aktorskie, które wysysają z niej ostatnie krople krwi, skąpo przypływającej z pustych przedstawień. Na wyłomie zdobywanej przez tego rycerza twierdzy stoi nieustraszony *Wiek*, który oskarżając swego przeciwnika o nieuczciwość i złą wiarę — według jego wyrażenia — „ochrypł, zasapał się, zapluł po pas.“ Zanim losy Troi się rozstrzygną, warto, ażeby Hektor z Achillesem odpoczęli i otarli się... ze śladów walki.

Bądźmy im jednak wdzięczni za to, że swym pojedynkiem rozrywają jednostajną ciszę naszego życia. Gazety tak puste, że wyręczając *Słownik geograficzny*, donoszą, iż w powiecie Janowskim istnieją osady: Urzędów i Modliborzyce z pewną ilością mieszkańców, jak gdyby to były pieczarki, które wczoraj dopiero wyrosły. Niedawno cała niemal prasa dzienna obwieściła światu radosną nowinę, że nad Wieprzem istnieją Bobrowniki, a przez pewien czas najpoważniej rozprawiano o najkrótszem połączeniu dwu kolei, które jakiś skromny simplex prowincyonalny, na podstawie elementarnej geografii Król. Polskiego, wyrachował jako najdłuższe. Z tego wynika, że znajomością geografii krajowej moglibyśmy zaćmić nawet... jenerałów francuskich.

Nakoniec kilka słów skruchy.

Gdy p. K. Prószyski wezwał wszystkich do oczyszczenia mowy polskiej i zaproponował zamiast wyrazu *tramwaj* używać *kolejowiec*, zwątpiłem o powodzeniu tak szczęśliwie rozpoczętego przedsięwzięcia. Tymczasem zadziwiające postępy w tym kierunku ukarały mnie za niewiarę. W jednym z ostatnich numerów pisma, powołanego do oczyszczenia naszej mowy z obcego błota, pod doniesieniem o *kolejowcach* czytam: „... wylał *tak zwany* rosół. *Fluid* (zam. cudzoziemskiego *płyn*) wlewał do kapelusza i oblał mu okrycie.“ Przepraszam szan. oczyszczaczów: czy panowie kpicie z języka, czy o drogę dlań pytacie?

*Poseł Prawdy.*

## W PERSPEKTYWIE.

Prawie bajka: pasterz potrzebujący murowanej plebanii i owieczki niechcące dać na nią pieniędzy. — Posiłki z powiatu. — Dzielność dozoru kościelnego. — Ofiary żydowskie w Augustowie i przezorność komitetu. — Pożary i delegaci towarzystw asekuracyjnych. — Sanitarny raport burmistrza w Baranowie. — Plagi i ich potomstwo. — Litania kryminalna. — Wystawa w Retowie i jarmark w Płocku. — O co chodzi *Biesiadzie Literackiej*. — Dogorywający wiarus.

Piękny przykład ojcowskiej troskliwości plebana o dobro swych prafian opowiedziało nam najmniej chyba skłonne do krytyki tego rodzaju stosunków *Echo*. W płockiem (wsi *par bonté* nie wymieniono) biedne owieczki wystawiły swemu pasterzowi plebanię. Budynek był niezbytkowny, ale dla pomieszczenia sługi bożego, który ślubował ubóstwo, dostateczny. Nieszczęsną jednak koleją losu miejsce skromnego proboszcza, który był zupełnie zadowolony ze swej siedziby, zajął inny, potrzebujący więcej niż czterech pokoików. Ponieważ nawet władca parafialny ma swoją Grecyę, która za niego płacić może, więc nowy pasterz zażądał nowego, wygodniejszego pomieszczenia. Członkowie dozoru kościelnego zasłonili się brakiem funduszu a nadto dowodem, że plebanię zbudowano według wskazówek poprzednika. Na tej instancyi przeciągłyby się pretensye, gdyby ks. proboszcz nie zaapelował do władzy powiatowej i nie zyskał przychylnej opinii budowniczego. Polecono tedy wójtowi gminy, ażeby „członkowie dozoru kościelnego, którzy plebanię z funduszów składkowych zbudowali, *wzięli ją sobie na własność*,“ wydane zaś na nią 600 rs. złożyli w gotowiźnie. Zwołani przez wójta parafianie dali odpowiedź godną dosłownego powtórzenia. Odrzekli, że jakkolwiek szanują duchowieństwo i radziby swemu proboszczowi nawet pałac wystawić, dozór nie posiada odpowiednich środków; odwołanie się zaś do ofiarności uważają za tem mniej stosowne, że opuszczony kościół wymaga naprawy i że „sama przyzwoitość sprzeciwia się temu, ażeby sługa boży mieszkał w plebanii murowanej, pod-

czas gdy sam Pan jego odbiera cześć w drewnianym kościółku." Uwagę p. budowniczego, że plebania drewniana łatwo uledz może pożarowi, zgromadzenie odparło dowodem, że teatr praski, chociaż murowany, jednakże spłonął. Skutkiem jednak silnego nacisku, postanowiono: do 600 rs. które członkowie dozoru kościelnego zwrócą, dołożyć ze składek jeszcze 600 rs. i zbudować nową plebanię, ale drewnianą. Tak więc tradycya panujących proboszczów płockich jeszcze raz się roztliła...

Policzmy: 1,200 rs. a nadto bezpłatna praca prarafian przy nowej plebanii dla dogodzenia zbytkowi gardzącego dobrami doczesnemi sługi bożego — za dużo; ale dla wykazania samodzielności rozumu dzielnych parafian — niewiele. Czemuż tych ludzi nie mogę uściskać i powiedzieć: zuchy jesteście, bo nie pozwalacie wodzić się za nos i czujecie swoje prawa. Dziś ustąpiliście, ale za lat dziesięć nie ustąpicie i wydzierany wam grosz na zbytki, zachowacie na poważne potrzeby gminy. O, ileż razy ci członkowie dozoru kościelnego są mędrsi od... *Echa*, które w całej tej sprawie widzi tylko kwestyę: czy składki na plebanie winny być pobierane „od dymu, czy od morga?" O to, czy wogóle winny być pobierane — mniejsza.

O ile nam trudno odczuć z proboszczem płockim potrzebę wzniesienia kosztem biedaków murowanej plebanii, o tyle podpisujemy wymówkę ks. A. B. w *Wieku*, zrobioną izraelitom. Po trzykrotnem (tylko!) spaleniu się Augustowa, najszczodrzej spłynęły ofiary od żydów z rozmaitych stron kraju, ale wyłącznie dla żydów. Wyznaniowość adresu składek ubezpieczono pominięciem komitetu i powierzono rozdziałich wyłącznie rabinowi, który naturalnie o równouprawnieniu religii wobec biedy nie pomyślał. Dopełnił się więc paskudny akt rozbratu w niedoli, tem paskudniejszy, że chrześcianie otrzymawszy razem 260 rs. 10 kop. nie wydobyli dotąd tej sumki z niewoli powiatowej. Trzymająca je kasa przewiduje zapewnie czwarty pożar Augustowa w tym roku i zachowuje pieniądze na jeszcze czarniejszą godzinę. Że przypuszczenie to nie jest pozbawione podstawy, dowodem Luboml (na Wołyniu), który 4 b. m. spłonął po raz czwarty. Zaledwie potrzebuję dodawać, że w ubiegłym tygodniu było nam również od kilku gorejących miast i wsi bardzo jasno. Przebierając w pomysłach bezpieczeństwa, *Gazeta Polska* radzi towarzystwom asekuracyjnym, ażeby ich delegaci dopilnowywali w miastach narzędzi ratunkowych i powierzonych na ten cel p. burmistrzom funduszów. I na to byśmy się zgodzili, aby tylko raz zgasła ta nieszczęsna illuminacya pożarowa. Nie sprzeciwialibyśmy się nawet rozszerzeniu władzy owych delegatów i opatrzeniu ich prawem kontroli sanitarnej. Panujące bowiem obecnie choroby zaraźliwe nie spotkają w organach administracyjnych zbyt wielkiej przeszkody, jeśli panowie burmistrze składać będą takie raporty, jak przytoczony w *Echu:*

„Stosownie do polecenia W. Naczelnika z dnia 1 (13) czerwca r. b. nr. 2579 mam honor złożyć terminalny raport o grasującej w mieście Baranowie cholerze i środkach przeciwko niej przedsiębranych — a mianowicie:

*Ad primum.* Stosownie do informacyi W. lekarza pawiatu, chorym zadaje się *mięta.*

*Ad secundum.* Zachorowało osób 30. Umarło osób 30.

*Ad tertium.* Najskuteczniejszą prezerwatywą okazała się *mięta.*

Co wyraziwszy, zostaję z uszanowaniem

*Jan Hapkiewicz*

p. o. Prezydenta Msta Baranowa."

Prawda, że tak skutecznie wyprobowano przed 10 laty miętę... w Baranowie, ale kto zaręczy, że środek ten nie zachował dotąd swej sławy w terapii pp. burmistrzów? Ogień niszczy domy i zbiory, choroby— zdrowie, dla dopełnienia trójcy plag niszczy zasiewy robak. Jak donosi *Gaz. Kielecka*, we wsi Sciborzyce pojawiły się liszki, które zgładziły znaczną przestrzeń świeżo zasianej pszenicy. Zaczęły również gospodarować w okolicach Miechowa, we wsiach Rzerzuśnia, Czaple Wielkie, Wysocice i innych. Cała ta trójca pozostawi po sobie bliźnięta: złodzieja i rozbójnika. To też już dziś coraz częściej dobiegają nas echa spełnionych kradzieży i mordów. Nie licząc świeżo w Częstochowie zakończonej sprawy ledwie dojrzałych zabójców ks. Nicza, schwytano w Radzyniu młodego również herszta bandy opryszków Łuszczewskiego, który osądził się sam rewolwerem w ostatniej instancyi; nadto dzierżawca Krośniewic (pow. Kutnowski) padł pod łopatą parobka, mszczącego się za odprawioną żonę, w Janowcu zaś (nad Wisłą) młynarz z synem zastrzelili niejakiego M. Lebrycha, którego ciało psy ogryzły. Są to tylko dorywczo zanotowane wypadki, litania bowiem przestępstw kryminalnych wyciągnęła się bardzo długim szeregiem.

Odwróćmy oczy od tego przykrego widoku.

W Retowie odbyła się czwarta wystawa rolniczo-przemysłowa. Od r. 1875, kiedy po raz pierwszy urzeczywistniono myśl tego rodzaju popisów, rozwinęła się ona bardzo szczęśliwie. Najgłówniejszą jej stroną jest ciągle wzrastający udział włościan (żmujdzkich), którzy w tegorocznej wystawie przedstawili nietylko konie, tkaniny, ale nawet wyroby artystyczne. Usiłowano też pracę kmiotka pobudzić licznemi nagrodami. Odległem naśladownictwem tej wystawy był jarmark w Płocku, który miał również cechy popisu i na którym także rozdzielono medale. Zachwycony tem powodzeniem *Korespondent Płocki* radzi ziemianom snuć dalej nić podobnych przedsięwzięć. „Rada taka — mówi *Biesiada* — nam jakoś nieoględną się wydaje. Oczywiście „wystawy prowincyonalne" — na ten tytuł każdy rozumny obywatel chętnie się zgodzi — mogą i powinny rozdawać nagrody wystawcom włościanom, którzy na wystawy warszawskie nigdy nie podążą, ale ziemianom-szlachcie, że tak nazwiemy stan zamożniejszy, mogą być przyznawane conajwięcej podziękowania od komitetu wystawowego, medale zaś honorowe powinny pozostać przywilejem wystaw tylko warszawskich. Bo pytanie, czy samodzielność nie zadowolni się prowincyonalnym tryumfem do tego stopnia, że obojętną jej już będzie wyrocznia w stolicy? czy takie honorowanie nie wyrodzi prowincyonalizmu, odrębności najszkodliwszej dla nas?— czy Lublin, Płock i t. d. nie przywłaszczą sobie przywilejów, jakie tylko Warszawie przysługują? Uwagi te zwracamy do kolegów z Korespondenta z tą dobrą wiarą, że zrozumieją o co nam chodzi" Tak przyzwyczailiśmy się do obywatelskich i uczciwych dążeń *Biesiady*, że pragnęliśmy szczerze zrozumieć, o co jej chodzi — ale nadaremnie. Dla czego obojętność prowincyi na „wyrocznię stolicy" ma być szkodliwą? Jakie to „przywileje" we względzie wystaw mają „przysługiwać Warszawie?" Co znaczy ta chęć centralizowania życia społecznego — nie pojmujemy. Owszem, według nas, zyskałoby ono bardzo wiele na rozstrzeleniu swych ognisk...

A teraz spojrzcie ze mną czytelnicy daleko, bardzo daleko. Jak donoszą gazety rosyjskie, a za niemi nasze, w Omsku zamiera z głodu stuletni blisko starzec Jan, Adam Skarbek Malczewski, jeden z ostatnich ofiar napoleońskiego wichru, który tylu naszych rodaków porwał i po świecie rozrzucił. Malczewski towarzyszył Napoleonowi aż do Waterloo. Powróciwszy w r. 1818, wszedł do wojska polskiego, a następnie w r. 1831 wysłany został na Syberyę. Tu osadzono go we wsi Indyjskoje (gub. tobolskiej), gdzie przez lat 20 w lecie pasał bydło, a w zimie wyrabiał zapałki. Od r. 1850 osiadł w Omsku; tu utrzymywał się z lekcyj, które mu starość odebrała, a gdy rząd francuski odmówił mu pensyi za order legii honorowej, wpadł w nędzę, z której resztki tego skołatanego życia miłosierdzie ratować może pod adresem przewodniczącej komitetu dobroczynnego lub oberpolicmejstra w Omsku.

*Asan.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Warszawa, d. 27 października.*

Położenie polityczne Europy zaczyna być istotnie ciekawem. Niemcy, trzymając jedną ręką Austryę, podały drugą Rosyi; teraz Austrya podaje zbywającą rękę Włochom; jeżeli zaś prawdą jest, że Francya jedną podała Niemcom a drugą Anglii — wszystkie wielkie mocarstwa w Europie tworzą jeden braterski łańcuch, mający kogoś opasać i skrępować. Zachodzi tylko pytanie: kogo? Gdy wszystkie się powiążą, zbraknie nieprzyjaciół. A może o to idzie, ażeby ich nie było? W każdym razie charakterystycznem jest to ciągłe zawiązywanie przymierzy wobec corocznych zapewnień przy otwieraniu parlamentów, że „stosunki z zagranicą są jak najlepsze." Ale pomijając formalną stronę tej sprawy, zastanówmy się nad rzeczową. Co może być celem spotkania monarchów austryackiego i włoskiego w Wiedniu? Nie omylimy się chyba twierdząc, że prosta demonstracya polityczna, szach w partyi, po którym mat często wcale nie następuje. Bo naprzód monarchowie nie trudnią się tak dalece polityką osobiście, a powtóre, gdyby nią kierować chcieli, mają zbyt wiele środków lepszych porozumienia się, ażeby potrzebowali uciekać się do najmniej odpowiedniego. Operacye polityczne wymagają tajemnicy, tymczasem zjazdy panujących uderzają jawnością stosunku; widocznie zatem idzie w nich nie o to, co robi tajemnica, ale o to, co robi jawność. Ta ostatnia zaś dokonywać może tylko dzieł drugorzędnych, pobocznych, służyć pośrednio utajonym zamiarom politycznym, które dopiero później się wynurzają. Czy reżyserem spotkania w Wiedniu jest Bismark, nie wiemy i odgadywać nie chcemy; istotnie ma on dość siły, ażeby tego rodzaju akty urządzać, ale zarazem zbyt jest płatany we wszystkie przedsięwzięcia polityczne, ażeby na jego przypuszczalny udział można się było zgodzić bez ostrożności. Bądź co bądź, pewnikiem jest, że dopóki monarchowie składają sobie wizyty, rządzone przez nich narody mogą używać pokoju.

Czy Gambetta odwiedził Bismarka, dotąd mimo najstaranniejszych poszukiwań wyżłów dziennikarskich, nie wyjaśniono. Obu bohaterów widocznie bawi cała ta intryga, nie spieszą się też z podniesieniem maski. Tymczasem Gambetta znowu puścił się w podróż po kraju dla rozsypania po nim pereł swej wymowy. Jedyna to pociecha dla Francyi, której nieszczęsna wyprawa tuniska wcale nie osładza życia. Ach, zapomnieliśmy o innem jej weselu. „Nieprzejednani" z panną Ludwiką Michel na czele odbywają ciągle wiece, na których już z gruntu przerobili Francyę, skazali na galery ministrów, oddali pod sąd Gambettę, słowem wysypali ze swego rogu obfitości milion głupstw, zdolnych rozśmieszyć najczarniejsze usposobienie.

Zanim spotkamy się znowu na tem miejscu, sejm niemiecki i Izby francuskie już będą zebrane i dostarczą polityce ciekawszego materyału, niż odkrycia p. Blowitza, korespondenta *Timesa*, podróż Gambetty do Warzina a króla Humberta do Wiednia.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Sprawy społeczne**. Zakład moralnej poprawy dziewcząt przy ul. Żytniej w Warszawie postanowiono znacznie rozszerzyć; fundusz bowiem tej instytucyi wzrósł znakomicie z ofiar prywatnych.

— Z Elizawetgradu donoszą, że na południu Rosyi utworzyła się pomiędzy żydami nowa sekta pod nazwą bractwa duchowno-biblijnego. Założycielem tej sekty, która w zasadach swych zbliża się do karaimów, jest jakiś nauczyciel prywatny. Wyznawcy nowej wiary opierają się wyłącznie na Biblii.

— Fabryka Nobela, jedna z największych w Petersburgu, zaprowadziła u siebie bardzo prosty sposób dla zmniejszenia pijaństwa; mianowicie: zamiast wypłaty zarobku tygodniowego w sobotę wypłaca go w poniedziałek, przez co robotnicy mają mniej sposobności i czasu do przepijania pieniędzy.

**Nauki i szkoły**. Zarząd gabinetu zoologicznego petersburskiej akademii nauk przygotował obszerną historyę tego gabinetu na obchód 50-letniej rocznicy jego założenia.

— Po niedawno zmarłym profesorze uniwersytetu warsz. Wisłockim katedrę terapii i epizoocyologii obejmuje prosektor Przewóski.

— Świeżo mianowany docent uniw. warsz. Baraniecki rozpoczyna wykłady kursu geometryi wykreślnej dla studentów wydziału matematycznego.

— Do instytutu technologicznego na kurs I wstąpiło w tym roku 120 uczniów, z tych 45 polaków. Procent nader wysoki.

**Przemysł, handel i komunikacye**. Koncesyę na budowę kolei żelaznych w Bułgaryi otrzymał polak, inżenier Struve, generał armii rosyjskiej. W budowie dróg czynny udział przyjmą dwaj inżenierowie, pracujący już od lat kilku w zarządzie dróg i mostów w Bulgaryi pp. Al. Haberfeld i Al. Wejsblat, obaj warszawiacy i wychowańcy szkół tutejszych.

— W Petersburgu dokonano próby z nowym przyrządem do natychmiastowego gaszenia ognia. Rezultat okazał się dobry, ale zpowodu wysokiej ceny, aparat z trudnością znajdzie zastosowanie.

— Do Orenburga mieszkańcy sąsiednich prowincyj azyatyckich dostarczyli znacznych zapasów bawełny, którą zamieniają na produkty przemysłu rosyjskiego.

— *Goniec urzędowy* ogłasza warunki konkursu z nagrodami za wynalezienie najlepszego systematu pieców piekarnianych, kuchennych i pokojowych.

— Na kolei baltyckiej prowadzą się doświadczenia co do zastosowania nowego systematu welocypeda do jazdy na kolejach żelaznych dla inżenierów.

— P. Gravier, współpracownik jednego z zakładów technicznych w Warszawie, otrzymał na wystawie elektrycznej paryzkiej medal złoty za wynalazek rozprowadzania elektryczności systemem kanalizacyi po mieszkaniach dla różnych zastosowań technicznych.

— Opłata od świadectw handlowych w Warszawie przyniosła skarbowi do 13 października za 20,914 sztuk rs. 293,681. Świadectwa subjektów handlowych przyniosły rs. 88,038.

— Inżynier Czackin wykonywa w Petersburgu próby wynalezionego przezeń sposobu przewożenia mięsa w wagonach. Z powodu braku i drożyzny tego produktu w stolicy i koniecznej potrzeby sprowadzania go z odległych okolic, powodzenie tych prób ma wielką wagę i to nie dla samego tylko Petersburga. Główny zarząd dróg żelaznych rosyjskich ofiarował na użytek tych doświadczeń kilka wagonów darmo i zobowiązał się przewozić również darmo po wszystkich kolejach prowadzących do Petersburga.

— Komisya obradująca nad akcyzą od tytoniu uchwaliła następujące przepisy: 1) Tytoń winien być sprzedawany w paczkach ważących niewięcej jak $^1/_4$ funta. 2) Sprzedaż bibułki do papierosów (w książeczkach) zostanie wzbroniona. 3) Gilzy mogą być sprzedawane pojedyńczo i w paczkach po sztuk 5, 10 i t. d.

— Na wystawie przemysłowej międzynarodowej w Frankfurcie p. St. Blechschmidt (syn) szewc z Warszawy otrzymał pierwszy medal złoty za obuwie damskie.

— Fabrykanci cukru w Królestwie Polskiem postanowili urządzać zjazdy peryodyczne w sprawach swego przemysłu.

**Rolnictwo**. W Rosyi południowej niezwykłe w tej porze roku mrozy poczyniły znaczne szkody plantacyom buraków i zbiorom winogron.

— W Odessie otwarto wystawę rolniczą, która zwłaszcza w dziale machin bardzo świetnie się przedstawia.

— Ustawa Towarzystwa ogrodniczego krajowego świeżo ułożona w ten sposób określa jego cele: 1) Podawanie sposobów hodowli roślin i ich rozpowszechnienia. 2) Rozdawanie lub tania sprzedaż uczestnikom sadzonek, nasion i całych roślin, oraz podawanie wiadomości o znaczniejszych ogrodach krajowych. 3) Rozdawanie świadectw jako nagród za wzorową hodowlę roślin lub nowo otrzymane odmiany. 4) Urządzenie ogrodu doświadczalnego i czytelni. 5) Pomoc dla wyższego kształcenia ogrodników. 6) Ogłaszanie konkursów na dzieła treści ogrodniczej. 7) Odczyty z przedmiotów ogrodniczych i nauk przyrodniczych w zastosowaniu do ogrodnictwa. 8) Wysyłanie delegatów dla zwiedzania ogrodów i wystaw ogrodniczych w kraju i zagranicą. 9) Urządzanie wystaw ogrodniczych. 10) Zawieranie stosunków z towarzystwami ogrodniczemi krajowemi i zagranicznemi.

— W winnicach nad Donem pojawił się owad filoksera. W celu zapobieżenia szkodom, minister spraw wewnętrznych polecił przedsięwziąć energiczne środki.

— Komitet wystawy ogrodniczej warszawskiej wysłał zbiór najlepszych owoców na odbywającą się obecnie wystawę ogrodniczą w Frankfurcie. Owoce te otrzymały tam wielki medal srebrny.

**Nekrologia**. Jan Kanty Steczkowski, doktor filozofii, wysłużony profesor matematyki w uniwersytecie Jagiellońskim umarł d. 16 b. m. w Krakowie. Urodził się dnia 2-go października 1800 r. w Liszkach pod Krakowem, a w roku 1826-ym rozpoczął służbę w tutejszem obserwatoryum astronomicznem, profesorem uniwersytetu zaś został w roku 1842, uzyskawszy wpierw (r. 1828) stopień doktora filozofii. W ciągu swego zawodu nauczycielskiego wydał kilka rozpraw i dzieł naukowych z zakresu astronomii i matematyki: *De longitudine geographica; De longitudine geographica Cracoviae; O kometach, a w szczególności o komecie Halleja; O mierzeniu wysokości za pomocą barometru;* w rozprawie *Resultate der an der krakauer Sternwarte gemachten Beobachtungen*, opracował obserwacye meteorologiczne według ówczesnych najnowszych teoryj, a mianowicie co do średniej temperatury miasta Krakowa, wysokości barometru, hygrometru, wiatru i t. d. Za pracę dziesięć lat trwającą przy redukcyi 36,000 gwiazd a przez niego dokonaną, nadesłali cesarze Mikołaj i Ferdynad dyrekcyi obserwatoryum dwa złote medale. Pisał także *O trwałości systemu słonecznego;* skreślił *Krótką wiadomość o Obserwatoryum krakowskiem.* Jego *Astronomia popularna* i *Matematyka elementarna* były przez pewien czas podręcznikami w gimnazyach Król. Polskiego. W r. 1863 wysłużywszy 37 lat jako profesor, ponieważ zapadł mocno na wzrok, a szczególnie na słuch, podał się do dymisyi, którą też z uznaniem prac i zasług otrzymał. Od owego czasu mieszkał stale w Krakowie i ciągle pracował, umieszczając w *Czasie* rozprawki swoje popularne z dziedziny astronomii, które wychodziły w osobnych odbitkach.

— Władysław Rudziński nauczyciel języków starożytnych i historyi w II gimnazyum w Warszawie zmarł d. 16 października r. b. Zmarły był zdolnym pedagogiem i zacnym człowiekiem.

— Książe Wasilczykow jeden z najczynniejszych ekonomistów ruskich, autor kilku cennych prac, członek wielu komitetów mających na celu podniesienie stanu ekonomicznego Rosyi, zmarł d. 14 października.

— A. A. Kotlarewskij prof. uniwersytetu kijowskiego, jeden z najsłynniejszych filologów rosyjskich, autor rozprawy *O obyczajach pogrzebowych słowian,* zmarł w Pizie.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*P. K.—n.* Nadesłany szkic wydrukujemy. Co do korespondencyi, odpowiedź możemy udzielić tylko listownie.

*P. Wacławowi Z.* Dawno jest naszym współpracownikiem. Zasłania się kryptowymem, bo mu potrzebny.

*P. Leśniewskiej w Kalazinie.* Przed odbraniem listu z redakcyi *Kłosów, Prawda* już była Pani wysłana.

## OFIARY.

Oficyaliści fabryki Jeziorańskiej pp.: Stefan Maszyński, Cezary Nehrabecki, Antoni Chłapowski, Stanisław Rudziński, Teofil Nowicki, Cezary Martynowski, Bolesław Krzywicki, Antoni de Kado, nadesłali na ponik Mickiewicza rs. 4, dla kurpiów rs. 9. Ponieważ składki na kurpiów są już zamknięte, całą więc sumę rs. 13 przesłaliśmy na pomnik Mickiewicza *Tyg. Ilustrowanemu*.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Октября 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.